

wariacje bez powtórzeń

wariacje bez powtórzeń

Redakcja i przedmowa:

Igor Borkowski

Autorzy tekstów:

Oskar Djangmah

Aleksandra Dudziak

Dawid Frączek

Katarzyna Kobiór

Barbara Lewandowska

Aleksandra Matczuk

Olivier S.

Antonina Popiel

Jakub Russak

Julia Zakrocka

Zuzanna Zysiek

© Copyright by Authors
© Copyright by Wydawnictwo LIBRON
© Copyright by Katedra Grafiki,
SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny

Wrocław–Kraków 2021

ISBN: 978-83-66269-92-7

Publikacja sfinansowana ze środków
Wydziału Prawa i Komunikacji Społecznej we Wrocławiu,
SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny

Redakcja: Igor Borkowski

Korekta: Anna Kędroń

Korekta graficzna: Katarzyna Sowa

Koncepcja graficzna, projekt okładki, łamanie: Jakub Russak

Tytuł zbioru: Zuzanna Zysiek

Współpraca wydawnicza Katedry Grafiki SWPS Uniwersytetu
Humanistycznospołecznego i Wydawnictwa Libron



Wydawnictwo LIBRON — Filip Lohner

ul. Zamkowa 4/2, 30-301 Kraków

tel. 12 359 24 76

e-mail: office@libron.pl

www.libron.pl

Spis treści

Nad wariacjami 7

Wariacje na temat spotkania w pociągu

Łomot 15

Tonąc w życiu 21

Pasażer 25

Ślepa miłość 33

Osiem po jedenastej 37

Mężczyzna w mokrym płaszczu i kobieta w kapeluszu 41

Bez oczekiwań 47

Nadzwyczajna kreacja i nieznośny figiel 53

Początek 57

Wariacje na temat niewidomej kobiety

Równowaga 63

Widać czerwień 67

Wariacje na temat strachu

Nowo odkryty (s)pokój	79
Spokój	83
Szczęście	87
Z rejestru najgorszych snów	95
Tańcz	99
Skarb	105

Wariacje na temat morderstwa

Fałszywe intencje	111
Mój drogi Hugo	117
Widzę kilka martwych ciał	121
I tak w kółko	127

Igor Borkowski

Nad wariacjami

Trzymasz w ręku, Drogi Czytelniku, rzecz niezwykłą. Jeśli do tego trzymania się ograniczysz, będziesz świadkiem. Jeśli zaczniesz czytać, staniesz się uczestnikiem owej niezwykłości. Zdecydowanie zapraszam do wybrania tej drugiej opcji.

Współautorzy tego tomu znali się i spotykali już wcześniej. Wszyscy z pewnymi wyjątkami są Studentkami i Studentami grafiki we wrocławskiej Filii Uniwersytetu SWPS. Wyjątkiem jest jeden z Autorów i niżej podpisany. Dołączyliśmy do tej prześwieczonej grupy później. Nie zapominam, byli z nami na pewnych etapach także kibice: Żółty i Fan, zdystansowani, ale i Oni budowali klimat tej wspólnoty.

Najważniejsze, jak mówią, jest wyjście na start. Tyle że myśmy w ogóle się na żaden start nie umawiali, nigdzie nie wychodziliśmy, nie zaczynaliśmy wspólnego biegu. Spotkaliśmy się podczas zajęć, które w programie kierunku są w trzecim semestrze studiów, dotyczą warsztatu copywritera i pisania kreatywnego. Tak to zrobiono, a przynajmniej ja tak to sobie i uczestniczącym w zajęciach zawsze tłumaczę, by każda Graficzka i każdy Grafik dobrze wiedzieli, jaki to jest trud zlepić te słowa, by z jednej strony trochę się sobie wzajem dziwiły,

z drugiej by jednak jedno do drugiego i kolejnych idealnie pasowało. Była pandemia koronawirusa, ledwośmy zaczęli w sali, już trzeba było iść na zdalne. Poszliśmy i zajęcia poszły wraz z nami. Było nam chyba całkiem dobrze. A przynajmniej mnie, prowadzącemu, było dobrze, bo to zawsze jest miło, gdy się można wspólnie kreatywnością innych cieszyć. A było się czym cieszyć, bo kreatywność w Graficzkach i Grafikach buzowała i przynosiła nader ciekawe owoce.

Było nam razem dobrze w tych nie najlepszych czasach, było nam kreatywnie, i to wyjątkowo. Owszem, było. Idea zajęć jest taka, że godzin jest lawina, dopiero to zmęczenie, ta intensywność, spiętrzenie i powtarzalność mogą stać się kluczem do sukcesu. Można powiedzieć, że walec się musi przetoczyć przez tych niepiszących (bo nigdy nie: niepiśmiennych!) grafików. One i Oni nie piszą, bo... I tu pojawia się tysiąc wyjaśnień, usprawiedliwień, oczywistych faktów, jasnych dowodów co do przyczyn. Tego się nie robi, bo się jest artystką/artystą i się wyraża kreską. Tego nijak czynić, bo owszem wyobraźnia to chyba jest, ale ta Pani od Polskiego to zawsze mówiła: no ty to nigdy się nie nauczysz, posłuchaj, jak (tu niech sobie każdy imię takiej wzorowej klasowej humanistki od wypracowań uzupełni) to napisała, i ucz się. Ale i tak nic z tego nie będzie. Poza tym w graficznych opowieściach o niepisaniu jest Podziemie. Ono jest zawsze dobrym usprawiedliwieniem: bo tak poza szkołą to ja kleję słowa, fajnie idzie, mówią mi to obcy ludzie na ulicy, ale żeby do szkoły... Do szkoły nie, to się do szkoły nigdy nie nadawało.

Mógłbym tak niemal w nieskończoność.

Niektóre i niektórzy z nas (tak będę pisać, bo uważam, że to inkluzywne my ma znaczenie i się uzasadnia) byli podczas zajęć bezkompromisowi i odważni. Zaczęło się od wątpliwości:

po co my to w ogóle robimy? jaki to ma cel? no, jaki, niech pan wyjaśni. Tak było. Nie wypomnę, kto zapytał i kto oczekiwał zupełnie poważnego uzasadnienia. Wyjaśnij Graficzkom i Grafikom, że mają sklecić tekst, że on ma mieć sens, ma się czytać, ma ucieszyć odbiorcę... I że niczego tu nie wizualizujemy, nie rysujemy, nie oddajemy obrazem.

Piszemy. Słowo. Ono wizualizuje się w wyobrażonym świecie odbiorcy, to za słowami stoją światy. Ty te światy budujesz, ale inaczej niż barwą, kreską, fontem. Budujesz je z wielkim ryzykiem, dajesz słowo, oczekujesz świata za nim. Jaki ten świat będzie, jak go sobie zrekonstruuje odbiorca? Twoja w tym głowa, ale i jego – odbiorcy, czytelnika, tego, który robi ci tę przysługę, że się zatrzymuje przy tobie, przy twoim słowie, że czyta, że poświęca swój czas, by sobie wyobrazić to, coś mu słowem próbował wymalować.

Można byłoby uznać, że to są jakieś pokrętne wywody, a to jest tylko ciąg dalszy naszej przygody. Spotkaliśmy się razu pewnego przy okazji świątecznej (była Agnes, nie zapominajmy), jakoś chyba wszyscy chcieliśmy, by w tym zdalnym czasie był moment, by poczuć normalność. No to ją mieliśmy. Było kolejowo, był barszczyk. Tak, proszę państwa, takie rzeczy tylko na grafice w SWPS! A potem się stało.

Do rzeczy.

Nigdy w życiu, a ono już sporo trwa, nie zdarzyło mi się, by Studentki i Studenci nie tylko zawnioskowali, ale wymogli skutecznie ciąg dalszy dość specyficznych przecież zajęć. Pisząc wprost, zajęć naprawdę dla kierunku ubocznych. Mało tego, ten ciąg dalszy wymagał zaangażowania, poświęcenia mnóstwa czasu, bo przecież te teksty trzeba było poza bonusowym czasem spotkania pisać, w trakcie zajęć swoich i cudzych słuchać, to godziny w sumie są.

Myśmy się spotykali w semestrze letnim roku akademickiego 2020/21. To były spotkania: regularne, nieoceniane, nikomu niczego formalnie nie dawały, nie było z tego ocen, godzin, punktów, czegokolwiek poza tym właśnie spotkaniem. Spotkaniem ze sobą wzajem, ze słowem Każdej i Każdego. Było pisanie tekstów, było ich głośne czytanie, było wspólne omawianie. Było to cieszenie się darem, którym za każdym razem, zawsze, w każdym czasie, jest moja wyobraźnia, moje światy za słowami, które ofiaruję Drugiemu. Nie wiem, co z tym darem zrobi, nie wiem nic: zrozumie, zaakceptuje, przyjmie, ucieszy się? Nie wiem. Chyba to jest w tej przygodzie najpiękniejsze: że naprawdę nie wiem, czy dotrę ze sobą, z moim światem, z moim pomysłem, z moją wrażliwością do kogokolwiek. Myślę sobie, że prawdą słabo dzisiaj rozpoznaną i zupełnie niedocenianą, ale prawdą, więc ostatecznie kluczem i fundamentem, jest konieczność uświadomienia sobie faktu, że sprawa nie w tym, że nadaję, sprawa w tym, że ktoś zechce odebrać. Że ktoś mojej prawdzie, mojemu światu, mojej wyobraźni poświęci swój czas. Jego czas – ważny tak samo jak mój, ale gdy rzecz idzie o to, że ma swój czas oddać mnie, wtedy ten czas bardziej jest wartościowy, większy jest, wolniej płynie niż mój. Jeśli zatrzymasz się nad naszymi tekstami, Drogi Czytelniku, to dopiero będzie dla nas dar!

I tak zaczęliśmy tworzyć Wariacje. One są bez powtórzeń. Co to znaczy? Coś zupełnie podstawowego. Oto stają przed nami rozwiązania zrobione nie pod klucz. Tu nie ma jednej odpowiedzi na jedno pytanie. Owszem, pytanie zawsze jest jedno, ale równocennych odpowiedzi tyle, ile odpowiadających osób. I to jest wartość, która dla mnie była najcenniejsza do zdobycia. Tu każda odpowiedź się liczy, każda jest dobra,

każdej warto poświęcić uwagę i czas. Nie. To nie w tym rzecz, że sprawny manipulator dogodzi każdej i każdemu, dostanie maksymalne noty w ewaluacji, będzie mógł się puszyć. No, można się puszyć. Tylko zanim się zacznie, trzeba to wszystko przeczytać, pokazać, co jest nie tak, ryzykować, bo się wkracza na cudzy teren i może się zdarzyć, że ktoś, kto ofiarował siebie, nagle poczuje, że ten nieobowiązkowy, prywatny dar zostaje zlekceważony, odrzucony, pominięty. Czasem, tak czuję, zdarzało mi się te dwa słowa krytyki powiedzieć za dużo. Wtedy zawsze jednak był ktoś, kto pożar emocji gasił, obracał w żart, czasem przywoływał mnie do porządku (że, o ludzie, wystarczy, już tak to marudzić naprawdę nie trzeba). Dziękuję. Dzięki Wam się udało. Dzięki Oskarowi się udało, bo był i chciał się z nami przywitać. Dzięki Olivierowi, bo choć anonimowy i obcy, pozwolił, żebyśmy mu zaufali, a my zaryzykowaliśmy, żeby mu zaufać. Dzięki Marcie, dzięki Zyśkowi (sobie Państwo poczytają...). Dzięki Dawidowi (mało tekstów!). Dzięki Katarzynie, Julii (i mojemu Fanowi, wiadomo). Dzięki Barbarze (i Żółtemu). Dzięki Prezesowi Miłoszowi (choć tekstowo tu nieobecnemu). Dzięki Aleksandrze D. (mało tekstów!) i Aleksandrze M. (przecinki są OK, naprawdę). Dzięki Antoninie i Emilii, o Russaku nie wspomnę. Wszystko to jest dzięki studentom ówczesnego drugiego roku grafiki z roku akademickiego 2020/21.

Zadaliśmy sobie pytanie, co by było, gdyby kobieta spotkała mężczyznę. Ale, uwaga, kobieta jest charakterna, bo ma kapełusz z wielkim rondem. Mężczyzna też niczego sobie – prze-moczony do szpiku kości. I to wszystko dzieje się w pociągu. Sanah nie była pierwsza, ona po prostu szła obok nas, gdy sobie wyobrażała „Wars”.

Gdzieś kiedyś wyczytałem, to było w kontekście ironicznym (w sumie do dziś nie rozumiem, jaki był tego kontekstu powód), że jakiś domorośli fabularysta wymyślił do rozwiązania zagadkę emocjonalną: oto dwóch facetów składa się na operację mającą przywrócić wzrok facetce. No, proszę bardzo, proszę dopisać ciąg dalszy tej historii.

Mamy tu też wątek horrorowy. Wszyscy jakoś tam lubimy się bać. Postraszmy się więc wzajem, ale w formie krótkiej, zwięzłej, klimatycznej, w miniaturze to zrobimy.

A ponieważ nie ma niczego lepszego niż nieuzasadniona śmierć w banalnych dekoracjach, spieszyliśmy też, by rozwiązać zagadkę kryminalną.

Czytelnicy tego zbioru trzymają w rękach drukowany, ostateczny, finalny efekt naszej wspólnej pracy. Oczywiście, tu każda Autorka i każdy Autor bierze za siebie i swój wykreowany świat pełną odpowiedzialność. Jestem jednak pewny, że możemy się pod tym kosmosem wspólnie podpisać. To jest nasza wspólna sprawa, nasze dzieło. Czytajcie więc, Czytelnicy, teksty tu pomieszczone. Niech rozbudzają wyobraźnię, niech opowiadają światy. Niech cieszą, bawią i przestraszają. Jedno musicie wiedzieć: nie będzie Wam dany zaszczyt, który stał się moim, niżej podpisanego, udziałem. Mogłem patrzeć, jak Oni tworzą. Nic lepszego dla mnie. Aleksandra, Aleksandra, Antonina, Barbara, Emilia, Julia, Katarzyna, Klaudia, Marta, Zuzanna, Zuzanna, Dawid, Jakub, Miłosz, Olivier, Oskar – dziękuję.

Igor Borkowski

Wariacje na temat
Spotkania w pociągu

Olivier S.

Łomot

Łomot nie ustępował choć na ułamek sekundy, nie dając o sobie zapomnieć, wdzierając się w każdą szczelinę zmysłów, jak krzyk torturowanej bliskiej osoby. Pociąg co parę sekund podskakiwał tak, jakby trafiał na regularne przeszkody, których nie był w stanie tak po prostu zmieść z drogi.

Na początku było to dla Rubena po prostu irytujące. Ale na początku nie było głodu, pragnienia, tej rosnącej niecierpliwości. Nie było bagażu zmęczenia parodniową podróżą, nie było tego potu, w tym ciasnym, zaludnionym po brzegi, śmierdzącym pociągu. Była tylko konieczność ucieczki, nadzieja i optymizm, że się uda.

Jednak z każdą płynącą sekundą, z każdym dniem, Ruben czuł, jak irytacja zmienia się we frustrację, a frustracja w gniew. Gniew i poniżenie, które dostrzec można było na twarzach innych pasażerów. Niech się lepiej przyzwyczajają, pomyślał narrator, bo ten strach to jeszcze nic. Przyjdzie jeszcze większy, potężniejszy, strach, o którym nawet nie śnili, strach świeżo upolowanej zwierzyny.

Ruben miał jednak przeświadczenie, że ta niewygodna, nie do końca wiadomo dokąd podróż miała jakiś swój cel, cel konieczny, cel przetrwania. To było mocniejsze od strachu.

Tak, cel ten był wart tej męczarni, warty tego smrodu w wagonie, tego płaczu niemowląt i wypełnionych przerażeniem twarzy ich matek. Miały tak wiele do stracenia.

A Ruben? Co mógł jeszcze stracić? Wojna mu odebrała wszystko. A wszystkim był jego dziadek. Tak, dziadek, który był dla niego jak ojciec, który go wychował, czuwał nad nim, który z dnia na dzień, nieco ponad tydzień temu, po prostu zniknął, nie wracając z pracy, a ślad po nim zaginął.

Ciekawe, czy czytelnik się domyśla, pomyślał narrator. Ciekawe, czy któryś z nich wie, co się tak naprawdę z dziadkiem Rubena stało. W każdym takim domyśle kryje się potencjalna historia, którą mógłbym opowiedzieć. Którą więc mam wybrać? Może tę z bajkowym happy endem, bo przerażają cię tragiczne i smutne historie, a wieczorem wolisz obejrzeć komedię. No niech ci będzie, dziadek Rubena był całe życie figlarzem, takim mocno przesadnym żartem, a jego zaginięcie było ostatnim wygłupem wymierzonym w stronę świata. Takim środkowym palcem w stronę jego prześladowców, którzy przeszukując jego dom, znaleźli jedynie kartkę z napisem

„Pocałujta mnie w dupę, złamasy”.

O, ty tam! Stoisz z tyłu. Widzę, że życie codzienne cię zanudza, szukasz więc dramaturgii, boisz się przemocy, lecz na ekranie czy na papierze to inna bajka, bo ciebie nie dotyczy. Czujesz w oglądaniu tej przemocy ziarno satysfakcji, bo jest w niej coś fascynującego, prawda?

A ty? Co mi o tym powiesz? Wiem, ciebie kręci prawda. Chcesz tej prawdy o dziadku. Zero-jedynkowa, matematyczna, nieugięta prawda to twoja biblia. Ale którą wersję tej prawdy mam wybrać? Jest ich przecież nieskończona ilość. Niektórzy by rzekli, że dziadek był zdrajcą, którego trzeba było ukarać, zlikwidować, zastrzelić.

Dla innych jest mesjaszem. Nie dopuszczają myśli, że został zastrzelony, że go gdzieś wywieźli, twierdzą, że w wyniku informacji o pościgu uciekł za granicę, by planować insurekcję i przewrót. Że wróci na koniu z całą armią i przywróci dawny ład, porządek, godność, obali tyranów, a życie wróci na zawsze do normy.

Słyszałem tyle tych wersji, tyle tych prawd, że aż w głowie mi się kręci, jak na karuzeli.

Ale starczy tego, wróćmy do Rubena.

Przed chwilą zerknął za okno, krajobraz się nieco zmienił, odkąd ostatnio wyrzął. Nie było już domków, były same pola i drzewa tam w oddali, pozostałości jakiegoś lasu. Nie były zielone, lecz pomarańczowobrazowe, jesienne i jakby smutne z utraty swojej zieleni. Nad nimi wisały chmury szare i złe, czekające na właściwy moment, by wyładować cały emocjonalny ciężar tej historii, by w końcu wyrzucić to z siebie.

Ot tak zaczęło padać. Lało, jakby ktoś z kosmosu przechylił na nich wiadro. Rubenowi to nie przeszkadzało. Chwilę później zasnął.

* * *

Obudził go wrzask. Ocknął się, przeczytał napis: „Kraków Główny”. Wciąż padało, a na peronie stał jakiś mężczyzna, krzyczał, trzymany z dwóch stron przez rosyjskich oficerów. Miał na sobie skórzany płaszcz tych Harlejowców, po którym spływa deszcz zmieszany z krwią. Próbował ze wszystkich sił wydostać się z rąk oficerów, ale oni byli silniejsi. Krzyczał „Nie chcę, nie chcę! Puśćcie mnie, zostawcie mnie! Nic nie zrobiłem!” Ale oni byli nieugięci, twarze ich były jakby bez emocji, obojętne, jak twarze gadów. Wepchnęli na siłę mężczyznę do wagonu Rubena, po czym zatrasnęły się drzwi i pociąg ruszył. Mężczyzna usiadł w kącie, z twarzą schowaną w dłoniach, i zaczął płakać.

Nagle Ruben zauważył młodą, zadziwiająco elegancko ubraną kobietę. Musiała wsiąść razem z mężczyzną, ponieważ wcześniej Ruben jej nie dostrzegł. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z pokazu mody. Na głowie miała brązowy kapelusz o szerokim rondzie, pochylony do przodu, lekko zasłaniający jej twarz. Miała na sobie długą, jasnopomarańczową suknię sięgającą do kostek. Nie dało się na nią nie patrzeć, tak bardzo nie pasowała do tego tłumu. Stała oparta o ścianę wagonu, obserwując mężczyznę w mokrym płaszczu, wyraźnie mu współczując.

Miała w sobie taką boską aurę, która sprawiała wrażenie, jakby nic jej nie ruszyło, jakby wiedziała, że wszystko jest poza jej kontrolą, nawet rzeczy najgorsze, najbardziej przerażające. Nie była jednak obojętna wobec losu innych, emanowała empatią, dzięki której podeszła do mężczyzny w skórzanym płaszczu, planując go pocieszyć. Szturchnęła go lekko. Mężczyzna w płaszczu nagle się poderwał, jakby świeżo wybudzony z koszmaru. Oczy miał czerwone i zażawione. To była rozpacz.

„Nie płacz. Niczego to nie zmieni”.

Nastąpiła cisza, a wzrok podróżujących powędrował na twarz przemawiającej kobiety w kapeluszu. Wszyscy się na nią gapili, w tym mężczyzna, do którego się zwracała.

„Dokąd oni nas wywożą? Co ja im zrobię?” Głos mu się łamał, pełen niepewności tego, co go czeka. A może to była właśnie pewność, że czeka go unicestwienie.

Spojrzał jej w oczy, spokojne i wszechwiedzące. To go trochę uspokoiło.

„Nie wiem, ale przeznaczenia nie oszukasz. Pogódź się z nim. Bóg to wszystko zaplanował, on ma plan”.

„W nosie mam Boga” – wybuchł mężczyzna. „Ja chcę, kurwa mać, żyć. Zabiją nas. Wepchnęli nas tu właśnie po to”.

„Nie wiesz tego” – odparła spokojnie kobieta. „Niczego nie wiesz. Zaufaj przeznaczeniu”.

Ale on zaufać nie mógł, on chciał mieć pewność.

Nazajutrz dojechali do celu. Oficerowie wyprowadzili ich mi-
giem z pociągu. Ruben wysiadł i poczuł ulgę. Poczł wiatr, świeży
powiew na jego twarzy przynoszący ukojenie. Potrzebował też
wody, lecz nie widział w pobliżu żadnej studni.

Na miejscu panował zgietk oficerów, ludzi, pociągów, innych
przyjezdnych. Był to pewnego rodzaju obóz, były baraki i podob-
ne ceglane budynki. Ruben szukał wzrokiem pięknej kobiety, ale
nigdzie jej nie było. Potrzebował jej spokoju, jej pewności, że
wszystko i tak jest poza ich ludzką, żałosną kontrolą.

Nie było jej. Ruben przez chwilę pomyślał, że mógł ją wi-
dzieć we śnie. Ale nie! Przecież parę metrów dalej stał ten facet
w płaszczu, w kolejce do któregoś z baraków, a obok stali ofice-
rowie. Ich rozmowa nie mogła być snem.

Nagle zabrzmiał znajomy głos, wykrzykując jego imię. „Ruben,
gnojku, co ty tu, do cholery, robisz? Ty gnojku mały”.

To był dziadek. Biegł po placu jak niemowlę, w kierunku Ru-
bena, wykonując dziwne, śmieszne gesty w stronę oficerów, wy-
stawiając im język.

„Ale tu śmiesznie, Ruben, mówię ci. Patrz na tych debili, tyle
mięśni, a dziada dogonić nie mogą”. Jeden z oficerów się nagle
poślizgnął, tracąc równowagę, a jego twarz wylądowała w kałuży
błota. Gdy zdołał już się podnieść, na jego twarzy było widać
wściekłość.

„Jak w gierce, Ruben. No, mówię ci” – powiedział dziadek. Po
czym zwrócił się ku wściektemu oficerowi.

„No, no, złamasie, tak żeś się pan wymądrzał. A kto ma mordę
w błocie? No, kto?”

Ruben wybuchł śmiechem. Patrzył na dziadka, poczuł tli-
wość do niego. Nie czuł nic innego, widział tylko tego dziecię-
cego, uroczo durnego dziadka.

„Dziadku?” – zapytał Ruben. „Czy to się dzieje naprawdę?
Już nic nie rozumiem”.

„Naprawdę” – odpowiedział z chichotem dziadek. „Przecież
ktoś o tym napisał”.

Zuzanna Zysiek

Tonąc w życiu

– Umieram, tak samo jak ty – powiedziała cicho. Słyszałem tylko jej głos, głos tak ciepły i piękny, głos, którego już nie znam. Chciałem ją zobaczyć, chciałem widzieć jej twarz, jej duszę. Chciałem jej dotknąć, ale ona zaczęła się oddalać. Mimowolnie odpywała z mojego życia.

– Dopóki jesteśmy tutaj, możemy zawrócić – mówię nerwowo i patrzę pusto w przestrzeń. Naiwnie oczekuję aprobaty dla mojej propozycji.

– Znasz drogę powrotną? – pyta, mimo że doskonale zna odpowiedź.

Zaprzeczam, a serce wali mi z całych sił, w każdym jego zakamarku czai się strach. Strach, którego nie jestem w stanie się wyzbyc. Boję się, że jej nie uratuję.

– Nie! Nie umierasz, ja też nie – krzyczę i nagle łódka, na której płyniemy, zaczyna tonąć. Woda szybko wlewa się do środka, a ja zaczynam panikować, rozglądam się nerwowo w poszukiwaniu ładu, który już dawno nie istnieje. Ona siedzi odwrócona do mnie plecami, wciąż nie widzę jej twarzy. Dostrzegam jedynie kapelusz spoczywający na jej głowie, kapelusz z niepokojąco szerokim rondem. Nie porusza się, mimo że cała łódka telepie się niemiłosiernie, ona się nie porusza.

– Kiedy umierasz, nie wiesz, czy przebywasz w krainie życia, czy śmierci, bo tak naprawdę między tymi dwoma światami nie ma żadnej różnicy – szepcze zza kapelusza. A potem znika... rozmywa się jak mgła. Widzę, jak znika z horyzontu mojego wzroku. Rozpaczliwie szukam jej w wodzie, w wodzie, która jest wszędzie. Wołam ją imieniem, którego nie pamiętam. Poszukuję jej w głębi oceanu, który pochłania moje ciało, który zabiera moją duszę na samo dno. Krztuszę się, krztuszę się powietrzem, krztuszę się życiem. I nagle słyszę głos, głos, który nie należy do mnie, głos, który nie należy też do niej. Jest coraz bardziej wyraźny, głośniejszy, ale go nie rozumiem. Otwieram oczy i znów widzę ten sam świat, jednak jest jakiś gorszy, jakiś smutniejszy. Czuję niepokój, a może raczej strach, który zaciska się na mojej klatce piersiowej, utrudniając swobodne oddychanie. Stoi nade mną mężczyzna z zapłakаныmi oczami.

– Czemu to zrobiliście? Dlaczego?! – mówi załamany.

– Gdzie ona jest? – mówię ostatkiem siły, chociaż doskonale znam odpowiedź.

Mężczyzna znowu zaczyna płakać.

A ja znów się krztuszę, krztuszę się powietrzem, krztuszę się życiem.

Siedzi obok mnie w swoim ulubionym kapeluszu, w tym właśnie kapeluszu. Ja wciąż mam na sobie płaszcz, ten płaszcz, płaszcz, który nadal pozostaje mokry. Za oknem widzę piękny krajobraz, krajobraz, którego nie znam. Słucham charakterystycznego dla pociągu stukania. Czuję spokój i radość. Wiem, że jadę do krainy, z której nie ma powrotu, jednak się nie boję. Nie boję się, bo ona jest obok mnie. Patrzę na nią, patrzę na jej uśmiech, uśmiech, który rozpala moje serce. Wodzę wzrokiem po jej twarzy, pamiętam dokładnie każdy detal, niebieskie oczy, zgrabny nosek, duże usta i lekko

zarumienione policzki. Wyciągam rękę, by dotknąć jej delikatnej dłoni, by poczuć ciepło jej ciała. Jednak ona jest szybsza. Wplątuje swoje palce w moje i niespodziewanie się odzywa. Jej głos jest tak ciepły, tak piękny. Dokładnie taki, jaki pamiętam.

– „I teraz będzie wszystko? Nie będzie niczego.

Kapelusze i dachy, korony drzew, wieże,
Drogi i tory kolejowe, rzeki – stąd widziane,
Rozpłyną ci się zaraz (...)*

* Marcin Świetlicki – *Korespondencja pośmiertna*.

Katarzyna Kobiór

Pasażer

Tamten dzień zdecydowanie nie należał do udanych.

– Bezsens – powiedziała sama do siebie, odgarniając za-
błąkany kosmyk włosów z czoła. Stała teraz pośrodku dużego
peronu, przykrytego szklanym dachem, opartym na stalowych
łukach. Chociaż przestrzeń, jak to perony mają w zwyczaju,
otwarta była na zewnątrz, pod kopułą było znacznie chłodniej.
Wpadające przez szklany sufit słońce powinno ogrzewać, jed-
nak czuła, że jest jej zimno. Po tej stronie Bariery ogólnie było
chłodniej, niezależnie od miejsca, w którym akurat stałaś.

Ubrana w białą, letnią sukienkę i słomkowy kapelusz, oprócz
chłodu, czuła też zażenowanie. Bardziej kolokwialnie mówiąc,
czuła się jak skończona idiotka. Nie żeby to uczucie było jej jakoś
szczególnie obce, bo w swoim życiu miała okazję czuć się tak
już niejeden raz. Jednak teraz czuła się zdecydowanie gorzej niż
zazwyczaj w takich sytuacjach. Przenikliwie i dogłębnie głupio.

Powinna wbić sobie w końcu do głowy, że mężczyznom nie
powinno się ufać. Nigdy i pod żadnym pozorem. Nawet jeśli
są szarmanccy, przystojni i tak niebywale, niebywale bogaci. Bo
co z tego, że spędzisz z takim miłe lato, jedząc w najlepszych
restauracjach w mieście, nosząc najdroższe sukienki i buty, jeśli
ten i tak ostatecznie wystawi cię do wiatru?

Na samą myśl o tym wszystkim poczuła, jak wstyd rozpala jej policzki, a wewnątrz gotuje się skrępowanie i wściekłość. Czekala na niego cztery godziny. Czekalaby pewnie dluzej, gdyby nie fakt, ze godzina odjazdu pociagu zblizala sie nieublaganie. Dodatkowo na plazy bylo goraco, a ludzie zaczynali przypatrywac sie jej podejrzliwie. W koncu wiec przyszla chwila, kiedy musiala ruszyc sie z miejsca i pozbyc resztek nadziei, ze jej „ukochany” jeszcze zjawi sie na randke. Ona mogla czekac na faceta nawet i caly dzien, pociagi jednak mialy w zwyczaju nie czekac nawet minuty.

Zawsze miala takie cudowne szczescie do męzczyzn. Kłamali i zdradzali, na koniec zostawiając ją samą bez słowa. Nie była idealna, ale to nie usprawiedliwia traktowania jej jak śmiecia. A po tylu latach miala wrażenie, że męzczyźni nie umieją traktować kobiet inaczej.

Ostatecznie i tak musiala biec, zeby zdązyc na autobus. Nie mialaby tego problemu, gdyby jej cudowny, już były chłopak, raczył się pojawić. Miał ją potem odwieźć na dworzec. Zamiast podróży kabrioletem miala wiec podróz śmierzącym i brudnym transportem publicznym. Niezbyt miłe doświadczenie, kiedy całe lato mialaś dostęp do prywatnego szofera.

W busie było ciasno, duszno, a na miejsce siedzące nie miala co liczyć. Dodatkowo męzczyzna stojący obok niej z uporem maniaka próbował wcisnąć swoją spoconą pachę w jej twarz. Tak jakby ten dzień nie był dla niej wystarczająco okropny.

Kiedy dotarła na dworzec, poczuła ulgę. Przynajmniej nie musiala już wachać potu obcego męzczyzny czy dusić się w tłoku letniego tłumu. Jednak pozytywne uczucia zniknęły tak szybko, jak się pojawiły, kiedy telefon zawibrował, sugerując otrzymanie wiadomości.

Wiadomość oczywiście była od wiadomej osoby, chociaż mógł sobie darować, bo sama sytuacja na plaży była dla niej całkowicie jednoznaczna. Jednak widocznie dla niego tamto upokorzenie nie było wystarczające i postanowił rzucić w jej stronę jeszcze kilkoma kwiecistymi epitetami, dając do zrozumienia, że nie chce jej znać, tak właściwie to nigdy nie chciał. Planowała wysłać mu w ramach odpowiedzi coś równie wyszukanego, jednak zablokował jej numer.

– Dupek – znowu mruknęła sama do siebie, bo to nie tak, że miała kogoś, kto mógłby ją teraz wysłuchać. Była sama, więc mogła narzekać tylko do samej siebie. To też nie było dla niej coś szczególnie nowego, chociaż po tych mile spędzonych wakacjach ciężko jej było się do tej samotności przyzwyczaić.

No ale nic innego jej nie pozostało.

Po peronie leniwie przepływały lewitujące światła. Fioletowe, żółte, czerwone – przesuwały się powoli w powietrzu, pozostawiając za sobą ledwo widoczne łuny, które znikwały prawie tak szybko, jak się pojawiały. Szara mgła kłębiła się dookoła, spowijając wszystko i wszystkich w zasięgu wzroku. Pachniała szafwią i deszczem. Jak praktycznie wszystko po tej stronie Bariery.

Blondynka zaczynała czuć się nie na miejscu ze swoim obecnym ubiorem. Był zbyt... ludzki. Zbyt typowy dla istot z drugiej strony, zbyt dziwny dla istot stąd. I chociaż nie widziała nikogo dookoła siebie, wiedziała, że przyciąga wzrok. Że ta część świata się jej przypatruje. Wzdychając ciężko, wyciągnęła z torby czarny płaszcz i zarzuciła go na siebie.

Płaszcz był satynowy i bardzo ciężki. Lubiła ten ciężar, a płaszcz wręcz kochała. Był wyjątkowy, inny niż cokolwiek, co nosiła na sobie, kiedy przebywała w świecie ludzi. Nosząc go, czuła, że jest po tej stronie, po jej stronie, a to napełniało ją

dziwnym spokojem. Teraz pomagało też zapomnieć o tym okropnym dniu.

Oczywiście słomkowy kapelusz wciąż się wyróżniał. Pomijając fakt bycia bardzo ludzkim elementem ubioru, nie był on też szczególnie stylowy. Kupiła go na szybko, żeby ochronić się przed zabójczym, letnim słońcem. Dlatego pozbywając się go, nie czuła żadnego żalu. Jeden ruch ręki, i spomiędzy jej palców posypały się iskry. Nakrycie głowy zniknęło, a sekundę później zastąpiło je inne, nieco bardziej znajome. Czarne, spiczaste i z dużym rondem, dużo bardziej pasowało do wiedzy.

Teraz wreszcie poczuła się jak u siebie, no bo w końcu wróciła na właściwą stronę. Magiczną, mroczną, jednak znajomą, kojarzącą się jej z młodością, ale też z pracą. No bo tak właściwie wróciła przecież pracować. Wakacje po ludzkiej stronie świata były przyjemne, lecz tam nie miała jak zarabiać, więc w końcu musiała wrócić.

„Jeszcze zatęsknisz za plażą, Ido”, pomyślała, nabierając w płuca powietrza wilgotnego od mgły.

Tuż po tym, jak zmieniła strój na bardziej odpowiedni, zobaczyła, że pociąg zaczyna wtaczać się powoli na peron. Metalowa lokomotywa ciągnęła za sobą wagony, których sznur zdawał się nie mieć końca. Koła maszyny piszczały przeraźliwie, trąc po szynach, a z komina wylatywały kłęby fioletowo-czarnego dymu, który delikatnie iskrzył się w promieniach wpadającego przez sufit słońca.

Po chwili ekspres zatrzymał się z głośnym piskiem, jakby chciał dać znać, że tak, to już, zaraz będzie można wsiadać. Jakby w odpowiedzi na to wszystkie drzwi wagonów otworzyły się w tym samym momencie.

Ruszyła do swojego wagonu bez większego namysłu, kompletnie nie zwracając uwagi na mijające ją cienie i światła, które pospiesznie wysiadały z pociągu i wsiadały do niego. Czasem w tych lewitujących duchach można było dostrzec sylwetkę, kontur twarzy, ale dawno już przestała się temu przypatrywać. Jako dziecko uwielbiała próbować dojrzeć rzeczy w osłonach ochronnych mieszkańców magicznej strony Bariery, jednak obecnie nie robiło to na niej wrażenia. Poza tym nie chciała naruszać prywatności pasażerów, którzy na pewno ją sobie cenili.

Byli i tacy, co zasłon ochronnych nie posiadali, ale obecnie było ich zdecydowanie mniej niż kiedyś. Nastąpiły czasy, gdy Magiczni woleli pozostawać anonimowi. Poza tym z zasłonami było bezpieczniej. Współcześnie nigdy nie mogłeś być pewny, kiedy ktoś, lub coś, zwróci się przeciwko tobie. Dlatego łatwiej było po prostu się chować. Kiedy wsiadła do wagonu, drzwi zamknęły się za nią z głośnym trzaskiem.

Wnętrze pociągu również spowijała mgła, takie były już uroki magicznych środków transportu. I chociaż ciężko było się w niej czasem poruszać, to wiedźma nie wyobrażała sobie podróży bez niej. Magiczne mgły miały różne zastosowania, ale dla Ildy przede wszystkim tworzyły klimat. Przypominały, że jest u siebie.

Wagon znalazła bez większego problemu. Z zadowoleniem rozsiadła się w środku, w głębi duszy ciesząc się, że na razie jest sama. Tęskniła za domem, ale obcy Magiczni potrafili być... nietypowi. Poza tym chwila odpoczynku dobrze jej zrobi.

I rzeczywiście, wzięła sobie ten odpoczynek do serca, bo gdy tylko pociąg ruszył, zasnęła. Kołysanie maszyny praktycznie od razu ją uspiło. Kapelusz zsunął jej się z głowy, zasłaniając oczy. Opatulona płaszczem pozwoliła sobie odpłynąć.

Obudziła się jakiś czas później z bólem karku i strużką śliny ściekającą z kącika ust. Przeciągnęła się leniwie, przecierając oczy i poprawiając kapelusz na głowie. Rozbudzała się powoli, kiedy kątem oka zobaczyła, że ktoś siedzi w przedziale.

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że się nie przestraszyła. W przeciwnym rogu, tuż przy drzwiach do przedziału, siedział... chyba mężczyzna. Przynajmniej tak wnioskowała z budowy ciała, ale nie była pewna. Miał na sobie ciemnoczerwony płaszcz z szerokim kapturem, który przykrywał mu głowę do tego stopnia, że nie było widać jego twarzy. O ile ten ktoś miał twarz, bo Ida mogłaby przysiąc, że przez chwilę widziała pod kapturem tylko ciemną otchłań. Dodatkowo jegomość był całkowicie przemoczony, tak że aż dookoła jego przetartych, skórzanych butów uformowała się niewielka kałuża.

Problem był taki, że na dworze wcale nie padało.

Nie wiedziała, jak znalazł się w wagonie, bo dałaby sobie rękę uciąć, że pociąg nie zatrzymał się ani razu. Nawet jeśli spała, poczułaby hamowanie. Była wrażliwa na takie rzeczy, wiedźmi instynkt, te sprawy. Dodatkowo szyby były całkowicie suche, więc gdzie niby złapał go deszcz?

Ida ze wszystkich sił starała się ignorować tego chyba mężczyznę. Nie wyglądał na zwykłego pasażera, w każdym razie był na tyle nietypowy, że wywoływał u niej dreszcze. A ona nie chciała problemów, w końcu dopiero co wróciła. Wystarczająco kłopotów będzie miała w pracy, więc jeszcze nie teraz, nie, dziękuję. Teraz chce żyć jeszcze plażą, drinkami, przejazdami kabrioletem i wspomnieniami z...

– Nie było warto. – Ida prawie dostała zawału. Nie spodziewała się, że mężczyzna (bo głos brzmiał jak męski) postanowi się odezwać.

– He? – odbąknęła bezsensownie, mimo że głośno i wyraźnie usłyszała stwierdzenie jego obecności w czerwonym płaszczu. Po prostu była na tyle zaskoczona, że „he” było jedynym, co umiała z siebie wykrztusić w tamtym momencie.

– No mówię, nie było warto. Więc możesz już przestać o tym wszystkim myśleć.

– Skąd możesz wiedzieć, o czym ja my... – Mężczyzna nagle obrócił się i zaczął intensywnie grzebać w kieszeni swojego płaszcza, przez co Ida ucięła w pół zdania.

Przez chwilę mogła dostrzec, że rzeczywiście, nie myliła się wcześniej. Pod kapturem była czarna otchłań, żadnej głowy. Pustka. Jedyne, co wydawało się znajdować w miejscu głowy, to jakieś... źródło światła? Ledwo widoczne, ale było, zdawało się nie mieć żadnej fizycznej formy. Mieniło się różnymi kolorami, świecąc raz mocniej, raz słabiej.

Nim zdążyła się głębiej zastanowić nad potencjalną tożsamością swojego współpasażera, ten wydobyl coś z kieszeni i teraz wyciągał to przed siebie.

– Widzisz kryształ? – zapytał, wyciągając przedmiot bliżej niej. Jego pięść zaciskała się na metalowym łańcuszku, na którego końcu zwisał obwiązany miedzianym drucikiem duży, jasnoniebieski kryształ. Była wiedźmą i raczej znała się na wszelkich kamieniach, jednak ten nie przypominał jej wyglądem żadnego, który wcześniej widziała.

– Mętny czy nie – kontynuował mężczyzna. Miała wielką ochotę znowu wyrzucić z siebie jakieś bezsensowne hasło, jednak powstrzymała się. Zamiast tego intensywnie przyjrzała się klejnotowi.

– No mętny – stwierdziła. Kamień ewidentnie nie przepuszczał przez siebie żadnego światła, był lekko mleczny, więc uznała, że rzeczywiście wygląda na „mętny”.

– No widzisz. Jak mętny, to znaczy, że nie było warto.

W tej chwili Ida zaczęła czuć, że już nic z tego nie rozumie, a ten dzień robi się tylko coraz bardziej pokręcony. Jednak ciężko jej było porzucić już zaczęłą konwersację bez żadnych odpowiedzi.

– ...masz kryształ, który mówi ci, kiedy coś warto, a kiedy nie?

– Nie, nie, nie. Mówi, kiedy nie było warto. To, czy coś warto, musisz rozważyć sama. On tylko mówi, kiedy odpuścić.

Ida przez chwilę analizowała słowa bezgłowego pasażera, próbując znaleźć na to jakąś odpowiedź. Wyrzała na chwilę przez okno, pogrążając się w rozmyślaniach, ale w myślach nie znalazła nic wartego powiedzenia.

Zresztą nie było to już istotne, bo kiedy odwróciła wzrok z powrotem, mężczyzny w czerwonym płaszczu już nie było.

– Kto to widział, żeby Dullahan dawał porady życiowe – powiedziała sama do siebie, na koniec wzdychając.

– To będzie długi sezon dla wiedźmy.

Barbara Lewandowska

Ślepa miłość

Ależ to był wieczór. Nie wiem, kiedy ostatni raz tak się zabiwałem... Świat dosłownie wiruje mi przed oczami, podczas gdy ja stoję w miejscu.

A przynajmniej staram się stać, trzymać coś w rodzaju pionu. Nogi mam jak z waty. Nic więc dziwnego, że przy lekkim wietrze, a czasem i bez niego, trochę się bujam. Buja się też ta zazwyczaj prosta, żółta linia...

„Pociąg szybkiej kolei miejskiej wjeżdża na tor drugi, proszę nie zbliżać się do krawędzi peronu” – te długo wyczekiwane słowa zdołały przerwać mój wewnętrzny, niezbyt optymistyczny monolog. Pani siedząca w głośniku miała rację. Jej głos został zastąpiony przez znany wszystkim, paskudnie głośny świst, który w połączeniu z lokalnym, peronowym trzęsieniem ziemi, wywołanym, rzecz jasna, przez pędzące po torach żelastwo, dostarczył mi chwilowego zawału serca. Odruchowo złapałem się za głowę, która nie wiedzieć czemu była cała mokra.

Pada? Nie pada.

A może jednak? Chyba nie jestem aż tak pijany, żeby nie umieć odpowiedzieć na tak proste pytanie. Dla pewności roglądam się wokół, doszukując się choć jednej kropli deszczu.

Patrzę w górę. Pusto. W bok... Pusto. W dół... Kałuża. Kałuża? Co u diabła? Chyba nie powiecie, że się zla... Nie no, nie zlałem się. Ale spodnie mokre. Buty mokre. Jezu, nawet płaszcz mokry! I nagle doznałem olśnienia. Przed oczami mignęło mi mgliste wspomnienie dzisiejszego wieczoru... Ach, to nie czas na wyjaśnienia! Konduktor przystawia właśnie gwizdek do ust, by dać znak do odjazdu. Ale w skrócie – idąc na stację kolejową, zaliczyłem przystanek w miejskiej fontannie. Pech chciał, że wiatr zawiął akurat, gdy znalazłem się w promieniu dwóch metrów od niej. A jak już mówiłem, nawet najłżejszy podmuch kołysał moim, i tak już rozhulany, ciałem. No i wpadłem. Jak śliwka w fontannę... tfu, w kompot.

„Halo, proszę wsiadać”.

Wsiadam. Siadam. Przy oknie, w razie niespodziewanych zwrotów akcji. Rozglądam się w poszukiwaniu kogoś, przed kim mógłbym się w ten sposób skompromitować, ale wygląda na to, że jestem w tym wagonie sam jak palec. Rozkładam się wygodnie na całkowicie przesiąkniętym już siedzeniu. Podnoszę nogi, by ułożyć je na drugim fotelu, a z butów wciąż wymyka się fontanna woda.

W końcu zamykam oczy, przynosząc ogromną ulgę moim wyjątkowo ciężkim powiekom. Od czasu do czasu w tle pojawia się dźwięk hamulców zwiastujący kolejne stacje. Po chwili dociera do mnie rytmiczne stukanie, typowe dla damskich obcasów.

Nie zawiodłem się, to właśnie one.

Wysokie i smukłe jak ich właścicielka, która wyglądała tak dostojnie, że przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem jeszcze nie śnię. Uszczypnąłem się dla pewności i znów się nie zawiodłem, to nie jest sen. Mój wzrok niepowstrzymanie wędruje coraz wyżej nad obcas, robiąc jedynie krótkie przerwy

na ciche westchnienia. Widoki te sprawiają, że momentalnie trzeźwieję. Niezwykle zgrabne nogi okrywa idealnie skrojona garsonka. Wisienką na torcie jest jednak kapelusz z ogromnym rondem, zasłaniającym całkowicie twarz tej eleganckiej damy. Wygląda w nim wyjątkowo tajemniczo.

Eh, co te kobiety ze mną robią... Całkowicie się rozmarzyłem. Ku mojemu zmartwieniu za oknem pojawiła się dobrze znana mi okolica. Zbliżamy się do mojej stacji, ale ja wcale nie chcę wysiadać. Z bólem serca podnoszę się z fotela. Dobrze, że już trochę wyschłem, nie chciałbym przecież wyglądać jak przepocny wariat. Maksymalnie zwalniam krok, by móc jak najdłużej cieszyć się widokiem tajemniczej nieznajomej, która po chwili sama wykonuje ruch w stronę drzwi.

Też tu wysiada? Niemożliwe! Czy to przeznaczenie?

Stoję tuż za nią. Pociąg zwalnia, podczas gdy moje serce przyspiesza. Dojeżdżamy. Ona stoi już przed otwartymi drzwiami. Podwija delikatnie spódnicę i wykonuje krok w przód, stawiając jeden z obcasów na peronie. Drugi już prawie do niego dołączył, ale... kapelusz pokrzyżował mu plany. Jego wielkie rondo zatrzymało się w drzwiach. Wraz z nim zatrzymała się jakże zaskoczona właścicielka. O tak, teraz będzie musiała się odwrócić. Zauważy mnie, spojrzymy sobie w oczy i... będziemy żyli długo i szczęśliwie – znów się rozmarzyłem.

Tak, odwraca się! Biorę głęboki wdech... Nie. Nie, nie, nie. Co jest? Może jednak nie wytrzeźwiałem? Nie wierzę. Nie wierzę własnym oczom. To nie może być prawda.

– Tata? – wydukałem.

Antonina Popiel

Osiem po jedenastej

Nocne pociągi. Połączenie dawnego ducha podróży trwających dni, nie godziny, z godną nowoczesności ufnością w technologię, jak i w ludzi. Trzeba przecież uwierzyć, że zostanie się nie tylko dowiezionym bezpiecznie na miejsce, ale i obudzonym w odpowiednim momencie, jeśli będzie trzeba. Niektórzy odważnie przystają na taki układ, kładąc się do snu na czas podróży. Część pasażerów łączy się jednak w wyjątkowych wieczornych chwilach, spędzanych przy barze lub przy stoliku wagonu restauracyjnego.

Tu, kiedy głębiej czerni za oknem przerywały nieliczne przebłyski żółtych świateł mijanych stacji, uwaga samotnego poety, zaliczającego się ewidentnie do drugiej grupy pasażerów, skupiła się na innych podróżujących.

Poeta był osobą skrupulatną z wyboru, z naturalną lekkością podchodził do notowania obserwacji, które nasuwały mu się wraz z chłonięciem otoczenia. Lubił wynajdywać powtarzające się elementy, grupować dostrzegane postaci na podstawie łączących je cech, rozpisywać je w określonej kolejności. Przykładowo, po wycieczce do ogrodu zoologicznego, którą odbył tydzień wcześniej, zanotował w błękitnym notesie: dwanaście

par trzymających się za rękę; siedem niestrzymających się, w tym cztery czule okazujące sobie uczucie na inne sposoby; trzy osoby narzekające na upał; dwoje dzieci z lodami kupionymi w budce przy wybiegu z surykatkami. Ludzie byli dla poety zjawiskiem dalece bardziej interesującym od zwierząt.

Nie inaczej podczas podróży, siedząc w okolicy wejścia do wagonu, o godzinie dwudziestej drugiej, poeta notatkami miał już zapisanych kilka stron notesu. Na jego szczególną uwagę tym razem zasłużyły stroje podróżujących. Można by pomyśleć, że przynajmniej część wytrwale bezsennych pasażerów, mając przed sobą kilkunastogodzinne wyczekiwanie końca podróży, zdobędzie się na zmianę ubioru na nieco wygodniejszy. Tego dnia o dwudziestej drugiej byłoby to jednak myślenie błędne, żadna z obecnych w wagonie restauracyjnym postaci nie cechowała się bowiem wyglądem tradycyjnie możliwym do uznania za zwyczajny.

Przede wszystkim – kapelusze. Poeta, zastanowiwszy się, czy aby nie przeoczył momentu, kiedy do mody wróciło namiętne użycie eleganckiego nakrycia głowy, przeliczył kryjące się pod rondami czoła pasażerów i skrupulatnie zapisał liczbę sześć, po czym rozrysował tabelkę, w której przy każdej cyfrze znalazły się kolor kapelusza i rozmiar ronda – numeracja od najmniejszego (jeden) do największego (sześć). Inną cechą dystynktywną części podróżnych były lśniące trzewiki, spośród których pięć par noszonych było przez przedstawicieli płci męskiej. Wśród obecnych kobiet jedynie dwie – mające na sobie spodnie – wolne były od ciągłej potrzeby wygładzania plisowanych spódnic, jakiego to szczęścia nie zapewniły sobie pozostałe cztery. Jedynie w wagonie dziecko, przysypiające na ramieniu opiekującego się nim starszego mężczyzny, niemożliwe było do pominięcia

za sprawą jaskrawożółtej czapki i odpowiadających jej kolorem bucików, niesięgających obecnie dalej niż kilka centymetrów poniżej fotela.

Przeglądając zapiski około godziny dwudziestej trzeciej, poeta wysnuł już pewien wniosek, niezwykłą cechą wspólną, charakteryzującą każdą osobę, która w ciągu mijającego wieczoru pojawiła się w wagonie restauracyjnym. Nie zauważył bowiem nikogo, kto mimo późnej pory, nieznajomości innych obecnych pasażerów, a nawet sytuacji przebywania w miejscu teoretycznie przeznaczonym do spożywania posiłku nie zadbałby o swój wygląd. I tak, jak jaskrawożółte buciki biły blaskiem nowości, a trzewiki lśniły czystością, tak plisy spódnic stałe były wygładzane, a kapelusze ani na moment nie zsunęły się z miasternych upięć. Z pewną dozą satysfakcji z dokonanego przez siebie odkrycia poeta uśmiechnął się pod nosem, wsunął pióro w kieszonkę marynarki i w swojej głowie usłyszał już dźwięk zamykanego notesu, znak zakończenia obserwacji i początku przemyśleń na jej temat. Nie zdążył jednak uczynić tego finalnego kroku.

Zegarek pokazywał dwudziestą trzecią osiem. Pociąg, podobnie jak wiele razy wcześniej, zahamował na stacji. Inaczej niż wiele razy wcześniej, postać wchodząca z peronu skierowała się bezpośrednio do wagonu restauracyjnego. Drzwi otworzyły się automatycznie, odsłaniając młodego mężczyznę w płaszczu. W każdym innym miejscu, w każdym innym czasie jego aparycja nie wyróżniałaby go tak bardzo, jak wyróżniała się teraz. Na nogach miał oficerki – grube, wojskowe buty – oblepione kilkumilimetrową warstwą błota. Jego spodnie nosiły silne znamiona zużycia, co zdradzały liczne łaty i przetarcia w okolicach kolan. Na głowie nie miał kapelusza, można by też pokusić się

o przypuszczenie, że nie miał przy sobie również parasola, ponieważ cała powierzchnia płaszczka, którym był owinięty, ociekała wodą.

W nagle zgęstniałej atmosferze wagonu restauracyjnego można było wyczuć elektryczny dreszcz, jaki przebiegł po plecach pozostałym obecnym podróżnym. Panowie siedzący przy stoliku nieopodal automatycznych drzwi wsunęli się głębiej w kąt. Dziecko o jaskrawych bucikach, obudzone na ramieniu opiekuna jego nagłym, sztywnym chwytem, rozszerzyło oczy i wciągając ze świstem powietrze, poprawiło pozycję, kładąc stopy z nowymi bucikami na fotelu. Podobne reakcje występowały u każdej z osób mijanych przez sunącego przed siebie młodego mężczyznę, którego ociekający płaszcz wyznaczał smutny szlak na wykładzinie pokrywającej podłogę wagonu restauracyjnego. Przybysz zdawał się ignorować sytuację, jednocześnie jakby zakładając, że pozostali podróżni nie przestaną usuwać się z jego drogi. Jakież musiało być jego zdziwienie.

Obserwujący go czujnie pasażerowie wstrzymali oddech, gdy nieprzyjemny, szeleszczący dźwięk mokrego płaszczka zderzającego się z elegancką garsonką wybrzmiał w ciszy. Następnie – tupnięcie rozrzucających dookoła błoto oficerek na nogach szukających równowagi. Stukot rozkołysanych trzewików, obracających się, aby ich właścicielka przed upadkiem dojrzeć mogła przyczyny nagłej zmiany położenia. Świst wilgotnego materiału na rękach próbujących łapać, co się da. I widoczne zdziwienie właścicielki plisowanej spódnicy, jeszcze przed chwilą oplatającej barowy stołek. I pozostający w rękach mężczyzny kapelusz z rondem, które musiało zastąpić olbrzymią część pola widzenia. Rondem numer sześć.

Aleksandra Dudziak

Mężczyzna w mokrym płaszczu i kobieta w kapeluszu

Rumieniące się bezkształtne podpłomyki, które babcia pozwoliła samodzielnie uformować, wyłożone na gorącym piecu kaflowym. Słodki, intensywny zapach jabłecznika z kruszonką „dochodzącego” w piekarniku. Długie rozmowy o czasach, kiedy mama była małym brzdącem, a babcia musiała przeciwdziałać powodowanym przez córkę drobnym katastrofom: drogi odświętny obrus pocięty na potrzeby stworzenia sukienki księżniczki czy pudełko po butach schowane w szafie, które tymczasowo stało się domem dla znalezionych na łące myszy. Wspólne czytanie bajek w ciasno owiniętym, trochę gryzącym kolorowym kocu pachnącym starym, pełnym wspomnień domem. Tak zazwyczaj opisywany jest dom dziadków. Niestety w moim przypadku ta sprawa wygląda zupełnie inaczej. Babka Anna nie była typowym przykładem rodzinnej nestorki. Miała mocno pomarszczoną skórę twarzy, na której zwykle gościł groźny grymas. Zamiast poklepania po plecach częściej była w stanie zaoferować przetrzepanie skóry, a zamiast owoców w cukrze było podejrzenie wyglądające mięso z zupy i zawsze trzeba było zjadać je razem z każdą żyłką i tłuszczem. Przy babcinym domu był ogród warzywny, chociaż może ze względu

na rozmiary lepszym określeniem byłoby „pole”. Latem babcia zaganiała nas tam na całe dnie i kazała zbierać ogórki czy marchew. Ale w żadnym wypadku nie można było jeść. Wraz z każdym dniem zbliżających się wakacji mnie i mojemu rodzeństwu rosła gęła w gardle ze stresu przed informacją od mamy, że „jedziemy w odwiedzin do babci”.

Dzisiaj babcia już jednak nie żyje. Jej dom od miesięcy stoi pusty i to mnie, ze względu na to, że niefortunnie mieszkam najbliżej, matka wysłała na rekonesans, by oszacować, w jakim stanie jest budynek i co można by z nim teraz zrobić. Dostałem również kilka pudeł wypełnionych rzeczami babci, które miałem tam czasowo przewieźć, bo najwyraźniej mama nie miała co z nimi zrobić. Niestety, prośba zbiegła się w czasie z pobylem mojego samochodu u mechanika, nie miałem innego wyjścia niż z skorzystanie z usług starego, pocziwego, powszechnie uwielbianego PKP. Pudełka planowałem więc zawieźć innym razem. Wyszedłem z domu, w ostatniej chwili chwytając jedną z kopert znajdującą się w kartonach, na której zapisany był adres posiadłości. Mimo tego, że spędzałem tam od dziecka każde wakacje, ostatnia wizyta miała miejsce prawie dziesięć lat temu. Wolałem mieć ze sobą dokładne namiary na wypadek, gdybym się zgubił i musiał się ratować internetowymi mapami. Temu „ekscytującemu” zadaniu towarzyszyła również urokliwa pogoda – chwilę po moim wyjściu lunął potworny deszcz. Przyspieszyłem kroku, ale nie udało mi się uniknąć nasiąknięcia jak gąbka. Do pociągu wchodziłem lekko speszony faktem, że naniostem błota, a kapiąca ze mnie woda utworzyła na podłodze małą kałużę. Znalazłem pusty przedział, by schować się wraz ze swoim zażenowaniem. Gdy siadałem, mój mokry płaszcz odcisnął

swój kształt na pstrokatej tapicerce fotela. Pociąg ruszył. Po chwili zorientowałem się, że koperta, którą zabrałem, wciąż skutecznie absorbuje wodę schowana w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyciągnąłem ją pospiesznie. Adres domu zamienił się w wielkiego, półtransparentnego kleksa. – No trudno – pomyślałem – będę musiał zaufać swojej intuicji. Częściowo przesiąkła również zawartość. Okazało się, że w środku znajdowało się kilkanaście leciwych już listów. Pewnie ktoś postarał się zaoszczędzić miejsca i poupychał je wszystkie do losowo trafionej koperty. Nie uważam się za sentymentalnego człowieka, ale z braku lepszych pomysłów na zagospodarowanie czasu postanowiłem zająć się lekturą tajemniczych zapisków, szczególnie że zniszczenia związane z przemoczeniem postępowały, a kolejne literki rozlewały się na powierzchni kartek. Był w tym pewien dreszczyk emocji – być może jestem ostatnim, który będzie w stanie to przeczytać. Sięgnąłem po pierwszy z brzegu list, pożółkły ze starości, zapisany starannym odręcznym pismem...

Słubice, rok 1936

Moja droga!

Aniu, Aneczko, niezwykle tęskno mi do Ciebie. To ostatnie lato dało mi wiele do myślenia. Początkowo czułam, że robimy źle, dlatego okrzyczałam cię niegrzecznie, ale od tego czasu nie mogę doznać spokoju. Ten całus, który mi dałaś, ciągle pojawia mi się przed oczami. To jezioro nocą i cykady, które nam przygrywały piosenki. Byłam im wdzięczna, bo gdyby matula nas usłyszała i dowiedziała się o wszystkim, to przetrzepałaby mi skórę, a Ciebie odestała natychmiast do domu. A co, gdyby Twój ojciec się dowiedział? Kochana, wciąż myślę o Tobie, ale boję się bardzo o naszych rodziców. Co by ludzie powiedzieli? Taki wstyd. Tato chce mnie wydać za syna Kapuśniczków. To dobra partia, jest pracowity i bardzo grzeczny.

Zawsze się kłania, gdy widzi mnie z matulą. Mam jednak nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę Ciebie, Twoją rumianą buzię, taką piękną jak wtedy w sierpniu, kiedy słońce przypaliło Ci nosek. Twoja w sekrecie, Janina

Wpadłem w osłupienie i niewiele myśląc, sięgnąłem po kolejną kartkę. Nawet nie zauważyłem, kiedy do przedziału weszła pewna kobieta. Spostrzegłem ją dopiero, kiedy siedziała naprzeciwko mnie. Nie zobaczyłem jednak jej twarzy, bo przystaniało ją rondo wielkiego kapelusza, który miała na głowie. Nie było to jednak wtedy istotne, byłem zbyt zaaferowany wiadomością, wróciłem do czytania.

Piastowo, rok 1936

Drogi Tatusiu,

jak mija Ci podróż? Widziałeś jakieś niezwykłe zjawiska i zwierzęta? Opowiedz mi wszystko, Tatusiu! Zawsze jak opowiadasz te wszystkie historie, są one takie ciekawe i niezwykłe. Powiedz, jak się czujesz, czy słońce nie doskwiera Ci za bardzo? U nas wszystko dobrze. Zbiory w tym roku bardzo się udały. Z mamusią całe dnie i noce gotujemy powidła. Raz w zamyśleniu spaliłam jedną porcję i mamusia zdenerwowała się bardzo i zbita mnie mocno. Janek i mamusia czują się dobrze i ja tak samo. Jeśli się zgodzisz, pojedę do ciotki Ludmiły do Stłubic na kilka dni w lipcu. Moja koleżanka mieszkająca z nimi po sąsiedzku wychodzi wtedy za mąż, chciałabym pobawić się na jej weselu. Tatusiu, słyszałam, że chcesz, żebym ja też wyszła za mąż, za Kazika, syna Olszewickich. Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej, ale ja wolalabym jeszcze zostać przy mamie. Teraz, kiedy jesteś w podróży, na pewno przyda Jej się pomoc.

Całuję cię, Tatusiu, Aneczka

Czytałem te listy kilkakrotnie, wydobywając z nich każdy szczegół i łącząc każdy wątek. Wnioski, do których dochodziłem,

całkowicie zaburzały mój obraz babci Ani. Po chwili jednak zostałem wyrwany ze skrupulatnej analizy, bo pociąg dotarł na stację docelową. Wsiadłem pośrodku niczego, w miejscowości, która po wstępnych oględzinach wyglądała, jakby nie powinna posiadać nawet stacji kolejowej. Razem ze mną wysiadła kobieta w kapeluszu. Zmierzałem w znanym mi kierunku, wbrew obawom nie miałem żadnego problemu, by odtworzyć trasę. Mijałem starą topolę, przy której wraz z siostrą bawiliśmy się jako dzieci, mały, pełen glonów staw, który kiedyś wydawał się niemal oceanem. Poszedłem na skróty przez sad sąsiada babci, gdzie kiedyś bawiłem się z mamą w chowanego i gdzie pierwszy i ostatni raz w życiu użądliła mnie pszczoła. Wracały do mnie emocje, o których dotąd nie miałem pojęcia. Uczucie ciepła i spokoju. Po chwili dotarłem do starego, w połowie drewnianego domu, znalazłem w kieszeni klucze i wszedłem do środka. W powietrzu unosił się zapach wilgoci. Od miesiący nikogo tu nie było. Usiadłem na chwilę w salonie pogrążony w myślach i usłyszałem za sobą skrzypienie drzwi. Jednak gdy się odwróciłem, nikogo tam nie było. Pewnie po prostu wiatr wykorzystał swoją szansę, by odkurzyć od dawna nieużytkowany dom. W kopercie pozostał ostatni nieprzeczytany list, a nieco zawstydzony muszę przyznać, że lektura tych korespondencji pochłonęła mnie całkowicie. Wykorzystałem więc chwilę na dokończenie tej czynności.

Piastowo, rok 1936

Janinko, Tatusi się zgodził, przyjadę na Twoje wesele. Bardzo się cieszę, że uda mi się jeszcze Ciebie zobaczyć jako pannę, mimo niesprzyjających mi okoliczności. Będziesz wyglądać pięknie w białej sukience i będziemy się razem bawić do białego rana. Dostałam od Tatusia piękny kapelusz na tę okazję, chcę ozdobić go kwiatami na

Twoją uroczystość. Obiecuję, że postaram się nie płakać. Czasem marzę, by skraść Ci ostatniego całusa, zanim zostaniesz żoną Piotra. Wybacz, jeśli to niestosowne. Wiem, że będziesz szczęśliwa. Piotr będzie dobrym mężem. Będziecie mieć piękne dzieci. Już nie mogę się doczekać, by zobaczyć Cię wystrojoną. Twoja Anna

Odwróciłem się z dreszczem przebiegającym po moich plecach. Spodziewałem się zobaczyć tajemniczą kobietę. Jednak jej tam nie było. Mój wzrok natomiast zatrzymał się na oszklonym kredensie, w którym za witryną nie było porcelany, a wisiał tam właśnie brązowy kapelusz z ogromnym rondem. Wyglądał fantastycznie, widać było, że ktoś bardzo o niego dbał przez te wszystkie lata. Zbliżyłem się do niego chwiejnym krokiem, wyjąłem z mebla, założyłem i spojrzałem w lustro z ozdobną ramą. Parsknąłem śmiechem, wyglądałem komicznie. W jednej chwili cały żal związany z tym miejscem i osobą, która tu mieszkała, całkowicie zniknął. Na jego miejsce pojawiło się ciepło, niespodziewane zrozumienie i głębokie współczucie.

Jakub Russak

Bez oczekiwań

Pociąg wybijał leniwy rytm, mieszający się z na przemian to narastającym, to gasnącym stukotem deszczu. Chłodna, letnia noc, linia Katowice – Gdańsk. Do ciasnego korytarza wagonu przedziałowego właśnie wsunął się, wyglądający na wiecznie zaniepokojonego, mężczyzna – jest to zabawna cecha, gdyż nawet ktoś, kto w tej chwili widział go pierwszy raz, zapewne oszczędziłby sobie zapytania, co go tak właściwie trapi, gdyż owo zmartwienie, od kiedy po raz pierwszy pojawiło się na jego twarzy wiele lat temu, teraz już zupełnie do niej przyłgnęło, za-domowiło się i stopiło z resztą osoby Jerzego, stanowiąc nieodłączną część jego osoby, co z reguły wywoływało uśmiechy politowania wśród postronnych, kiedy tylko zdali sobie z tego sprawę. I wielką irytację samego Jurka. Tym razem jednak pewien powód do zmartwień miał: była to długa, ciągnąca się za nim smuga wody, a dokładniej to, co tę smugę zostawiało, czyli jego przemoczony do suchej nitki płaszcz: teraz ciężący, zimny i niewygodny.

Rozejrzał się dwa razy, po czym otworzył nigdy nie zamknięte do końca drzwi przedziału na lewo i wszedł do środka. Była tu tylko jedna osoba. Kobieta w krzykliwym, przewiązanym kokardą

kapeluszu z wyjątkowo szerokim rondem zasłaniającym w tej chwili jej oczy i resztę ubrań, sprawiających nieco odmienne wrażenie: koszula i czarne, szeroko zakończone spodnie, schludne, lecz kapelusz zdecydowanie je przyćmiewał, na prawo od niej niewielki plecak i nadgryziona kanapka z pasztetem, dalej częściowo owinięta folią – to wszystko kontrastowało ze współpasażerką, jakby znalazło się tutaj zupełnym przypadkiem. Zresztą, całe otoczenie z nią kontrastowało: sprawiała wrażenie osoby barwnej, wyjętej z innej bajki, bajki, w której polskie, rozklekotane pociągi nocne zwyczajnie nie istniały.

Gdy tylko przedział zatrzęsł się i zahłasował pod wpływem gwałtownie otwieranych drzwi, ożywiła się, wyprostowała na fotelu i spojrzała na swojego współpasażera, aby po chwili wrócić do wcześniej przyjętej pozycji. Jurek przez chwilę mógł zobaczyć jej twarz: młodą, pyzată, mogła mieć zarówno piętnaście, jak i dwadzieścia pięć lat. Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Nie jest ci zimno? Zdejmij to z siebie – odezwała się w końcu ta z naprzeciwka.

– Nie mogę – odpowiedział zdawkowo, a tamta po raz drugi zerknęła na niego, teraz z ciekawością.

– Co to znaczy, że nie możesz?

– To znaczy, że nie mogę. Zawsze tak zagadujesz nieznanomych?

– Czasami, przeważnie wtedy, gdy wyglądają, jakby mieli coś do ukrycia. – Puścił to mimo uszu.

– A ty? Co to za zwyczaj, z tym kapeluszem? Nie wygląda zbyt komfortowo, nie chcesz go zdjąć?

– Nie mogę. – Wzruszyła ramionami i roześmiała się.

– Dlaczego?

– Bo uciekam.

– Co to znaczy, uciekasz? Przed czym? Przed kim?

Nawet się nie zorientował, kiedy jego zdystansowany ton został zastąpiony przez zwykłą ciekawość. Tak zadziałała na niego beczelna bezpośredniość tej dziwnej współpasażerki.

– O, czyli jednak chcesz pogadać? Wiesz, większość z nas przed czymś ucieka, prawda? Jeśli chodzi o mnie, sprawa wygląda następująco: za jakieś pięć minut wejdzie tu człowiek, będzie wyglądał jak konduktor, ale to też zwykła zmyłka. Tak serio, to... zły człowiek. Wiem, brzmi banalnie. Sęk w tym, że mam coś, co mu zabrałam. Coś, co nigdy nie powinno dostać się w jego ręce. Z tym, że on nie wie, że ja to ja. Ale jeśli zobaczy moją twarz, pozna mnie. Ja też nie wiem, że on jest nim, ale jak tylko zobaczę, będę wiedziała.

Tania historyjka, pomyślał Jurek, brzmiała wręcz niedorzecznie, jak ze średniej jakości kryminału, lecz ona opowiadała ją z absolutną pewnością siebie. Dalej trawiąc to, co właśnie usłyszał, zadał pierwsze pytanie, które mu przyszło na myśl.

– I opowiadasz mi to z taką łatwością?

– Teraz to już praktycznie codzienność. Zresztą, umiem poznać się na ludziach, a ty, jak teraz tutaj siedzisz, jesteś już praktycznie współnikiem. Małym przeoczeniem, pypciem na linii czasu. Bardzo mi przykro, że cię to spotkało. Zresztą, nie ma tragedii, więc nie panikuj, proszę. A jaka jest twoja historia? Wciąż pamiętam. „Nie mogę”? – jej lekkość w tonie głosu kontrastowała z powagą opowiadanej historii i bynajmniej nie sprzyjała wiarygodności. Jurek skrzywił się, a na jego twarz wstąpił z powrotem żaloszny, zmartwiony grymas.

– Po prostu nie chcę, by ktokolwiek zobaczył... – W tym momencie drzwi przedziału się otworzyły, a w nich stanął, zgodnie z przewidywaniami, konduktor. Spojrzał najpierw na mężczyznę, kobieta wciąż zakrywała głowę kapeluszem.

– Bileciki do kontroli – burknął. Trzeba przyznać, że jeśli historia kobiety była prawdziwa, to całkiem nieźle się kamuflował. Wyglądał, jakby ostatnie dwadzieścia lat spędził właśnie w tym zawodzie: to był starszy mężczyzna z gęstym wąsem i czapką konduktorską przykrywającą to, co zostało z jego włosów. Sprawiał wrażenie znudzonego, poirytowanego. Drżącą ręką Jurek podał mu świstek papieru, który ten zwrócił po szybkiej przebieżce wzrokiem. Spojrzał na kapelusznicę.

– Śpi?

– Śpi – odpowiedział ochoczo, a facet jak gdyby nigdy nic machnął ręką, stwierdziwszy, że wróci za chwilę, i wyszedł z przedziału. Ta, która przez cały ten czas zakrywała twarz, roześmiała się, zrzucając okrycie z głowy i odstaniając burzę blond loków.

– Czyli jednak, pomyliłam się. Cóż, to się zdarza, kiedy tak długo podróżujesz, ukrywasz się, zmieniasz przebrania, miejsca, czas, wygląd... Wszystko zaczyna ci się mieszać, wiesz? Chyba czas dać sobie z tym spokój. Zdejmij ten płaszcz, przestań udawać, co? – Jurek westchnął, uśmiechnął się i postąpił zgodnie z prośbą. Płaszcz odkrył wytatuowane ramię, tak bardzo niepasujące do jego raczej chuderlawego wyglądu. W samych tatuażach nie było nic szczególnego: były to w większości kwiaty, łączące się w skomplikowane wzory na długości całego ramienia. Dziewczynie w kapeluszu jednak coś one powiedziały.

– No i tu mnie masz. To co, miejmy to już za sobą? Wiesz, zwykle „ten zły” musi wygłosić wielką przemowę, a potem zacznie się wielki pojedynek. Ale ty przecież wiesz, jak to się skończy, chyba nie ma sensu się w to bawić? – zapytał, a tamta w odpowiedzi wyjęła schowany w kieszeni spodni stary zegarek na łańcuszku i rzuciła go w jego stronę. Cokolwiek ten niepozorny

przedmiot potrafił, uznała, że nie jest to już jej zmartwienie. Podróże w czasie nauczyły ją, że we właściwym momencie i tak wszystko trafi na swoje miejsce: nic nie ucieknie. A ona zasłużyła sobie na krótkie wakacje.

– To co, do następnego? – zapytała.

– Na pewno. – Roześmiał się, wychodząc z przedziału, a dziewczyna spojrzała na bilet spoczywający w drugiej kieszeni. Czyli nad morze, tak? Morze brzmi całkiem nieźle. Wyciągnęła się wzdłuż pustego przedziału, kładąc nogi na drugim fotelu.

Dawid Frączek

Nadzwyczajna kreacja i nieznośny figiel

- Gdzie się Pani tutaj pcha...?!
- Proszę trochę wyżej z tą głową!
- No kto by pomyślał...
- A zdjęłyby Pani to coś, co tylko zawadza!

Na nadlatujące kolejne salwy opryskliwych komentarzy jedynie zacisnęła mocniej usta, nie zwalniając tempa, z jakim próbowała przeciskać się przez gęstniejący tłum. Pociąg był długi, podobnie jak jego trasa – kursował przez aż dziewięć krain, nie raz wznosząc się nad taflami jezior czy sunąc między ostrymi skałami gór. Ataki potencjalnych drapieżników (w szczególności żarłocznych harpii) skutecznie odpierała bariera rozszczepiona pięć metrów od maszyny i odnawiana na każdej stacji przez przedstawicieli Gildii Magów. Trasa była całkowicie bezpieczna, co skutkowało niezmiennym zatłoczeniem zarówno wagonów, jak i korytarzy (a w zależności od dnia i okoliczności zdarzało się, że praktycznie każda przestrzeń stanowiła miejsce siedzenia dla podróżnego). Mniejsi lub więksi od niej ludzie (lub nie-ludzie, ale zważając na gabaryty maszyny oraz porę dnia i roku, tak czy siak głównie widziała postaci przynajmniej ludzko-podobne) starali się odnaleźć choćby te kilka centymetrów dla

siebie w zatłoczonych wagonach, co jedynie zwiększało poczucie chaosu.

Maszyna była stara i kiwała się to w lewo, to w prawo, raz na kilka minut szarpiąc mocniej. Nie sprzyjało to próbom kobiety przedarcia się przez tłum w choć trochę mniej zatłoczone miejsce, a na pewno nie ostudziło irytacji zarówno pozostałych podróżnych, jak i jej samej. Postawiła kolejny krok i natychmiast usłyszała głośny pisk, gdy spod jej buta umknęło troje smocząt, prychając gniewnie z nozdrzy i potykając się o za duże jeszcze łapy.

Jakby sam środek transportu nie był wystarczająco uciążliwy! A tak, musiała się jeszcze użerać z ludźmi nieposiadającymi za grosz obycia kulturalnego – jak można nie docenić istnego arcydzieła, które nosiła na swej głowie, a wręcz na nie bluzgać?

Pracowała nad kapeluszem przez długie tygodnie, aż w końcu, co owocowało zranionymi od igieł palcami oraz wieloma bezsennymi nocami, stworzyła dzieło swojego życia. Niesamowicie szerokie rondo aż mieniło się mnogością detali – każdy element miał stosowną symbolikę, każdy mogła przywołać bez patrzenia w lustro i każdy z dumą potrafiła opisać. Stąd też jego wyjątkowość.

Ignoranci, rzuciła cicho pod nosem, jednocześnie przytrzymując długimi palcami kapelusz, gdy ledwo co przecisnęła się do ostatniego wagonu, który, ku jej zdumieniu, zdawał się pusty.

Zerknęła badawczo w swoje odbicie w brudnej szybie pociągu, po czym odetchnęła z ulgą. Wyglądała wspaniale, a kapelusz na jej głowie – jeszcze lepiej. Teraz już tylko przetrwać cztery godziny podróży, następnie zameldować jej Gildię Kapeluszy w międzyrasowym konkursie mody i już ma wygraną w kieszeni – a jakżeby inaczej! Z uśmiechem na ustach sięgnęła do torby, aby wyciągnąć ulubioną książkę. Marzyła o zatopieniu się w lekturze,

a nie spodziewała się, że będzie miała na to szansę w takich warunkach. Teraz nawet drugie słońce wychodziło zza chmur, rzucając ciepłe światło do wnętrza pociągu. Już chciała usiąść, gdy dostrzegła wysuwający się spomiędzy kartek bilet, który wręcz uniknął jej palców i upadł na podłogę.

Dopiero teraz zauważyła jego odmienność – papier znacząco zmienił swoją formę, a pieczętka konduktora zaczęła się rozmywać. Przeklinając zbyt wczesne pochwalenie losu, schyliła się po mokry bilet, który na szczęście pozostał czytelny.

– Przepraszam... mam nadzieję, że papierka Pani nie uszkodził... Proszę tylko hałasu nie robić, mnie już głowa boli od tych tam... Krzyczą, że przeszkadzający, toć nic nie robię...

Ciche, ostrożne słowa dobiegły z jednego z niewielu siedzeń, umiejscowionego najbardziej w kącie wagonu. Mężczyzna siedzący na nim był wyjątkowo długi i chudy, co pozwalało mu naprawdę dobrze wcisnąć się jak najmocniej w kąt. Pozostałby praktycznie niezauważalny, gdyby nie krople wody, nieskończenie spadające z ciemnego, mokrego płaszcza na (już nie aż tak) brudną podłogę. Musiał zostać ofiarą żartu jakiegoś psotliwego czarodzieja, nie znała innego wytłumaczenia. A widząc minę mężczyzny i wspominając resztę podróży, nie miała siły się na niego złościć.

Kto wie, możliwe, że i jej książka poczeka na inny dzień.

Julia Zakrocka

Początek

Z głośników dobiegał przygłuszony, chropowaty dźwięk: „Stacja Paryż centralny. Pociąg osobowy do Berlina wjedzie na tor czwarty przy peronie czwartym. Prosimy zachować ostrożność i nie zbliżać się do krawędzi peronu. Planowany odjazd o godzinie dwudziestej trzydzieści”. Na stacji kolejowej zawrzało, rozpoczęła się wyścig z czasem.

Pociąg w porównaniu z dworcem i peronem wydawał się innym światem, zwłaszcza w pierwszej klasie. W kilku rzędach wygodnych kanap zwróconych do siebie siedzieli cicho rozmawiający ludzie z wyższych sfer. Niektórzy z nich pili, inni degustowali niedawno podaną kolację lub byli zbyt pochłonięci rozmową, żeby pamiętać o ciepłym posiłku. Kilka osób siedziało w osobnych rzędach, czytając gazetę czy przysypiając z głową opartą o miękkie zagłówek, najczęściej zakrytą kapeluszem, aby dać oczom wrażenie ciemności. W powietrzu unosiła się zmieszana woń skóry oraz często palonych papierosów. Ale właśnie, ten kapelusz. To on przykuł uwagę wszystkich pasażerów w sekundzie, w której otworzyły się drzwi do wagonu.

W przejściu stanęła wysoka kobieta z kapeluszem o tak wielkim rondzie, że jedyne, co można było zza niego dostrzec,

to krwście czerwona szminka oraz kosmyki ognistorudych włosów upięte w niski kok. Jednak to właśnie kapelusz przykuwał największą uwagę. Stworzony z połyskującego materiału o kolorze butelkowej zieleni, ale nie byle jakiej zieleni. Był to kolor, którego nawet najdroższe butelki wina mogły pozazdrościć. Tworzył on idealną kompozycję z eleganckim, czarnym płaszczem oraz bordową jedwabną sukienką do łydki. Całość dopełniały czarne szpilki ze złotą klamrą, skórzane rękawiczki tego samego koloru oraz niewielka, również zielona torebka.

Wszyscy milczeli, gdy pięknie ubrana kobieta przechodziła przez wagon do swojego miejsca w pociągu, które znajdowało się idealnie na środku wagonu. Dobrze wiedziała, że jest obserwowana, jednak mimo to nie raczyła nikogo spojrzeniem. Z gracją opadła na skórzaną kanapę, powoli zdjęła rękawiczki i sięgnęła do torebki. W całym wagonie było słychać otwieraną elegancką papierośnicę, odpalaną metalową zapalniczkę oraz pierwszy wydmuch dymu. Kobieta odwróciła się w stronę okna. „Uwaga! Pociąg osobowy w kierunku Berlina, znajdujący się na torze czwartym przy peronie czwartym, odjazd za pięć minut. Prosimy o niezwłoczne udanie się na swoje miejsce”. Dopiero ten dźwięk odczarował atmosferę. Ludzie wzdychali, chrząkali i odwracali wzrok z zakłopotaniem, aby w końcu zwrócić się w swoim kierunku i zacząć plotkować. Pociąg ruszył i pierwsze krople deszczu spadły na szybę.

Po pięciu godzinach podróży deszcz rozgościł się na dobre za oknem, a pociąg ponownie stanął na stacji. „Hannover, dworzec centralny. Pociąg osobowy w kierunku Berlina wjedzie na tor siódmy przy peronie szóstym. Prosimy zachować ostrożność i nie zbliżać się do krawędzi peronu. Planowany odjazd o godzinie pierwszej czterdzieści pięć”. Tym razem

atmosfera była inna, bardziej senna. Światła zostały przygaszone, aby tworzyć półmrok i oświetlać jedynie korytarz. Większość pasażerów już spała, ale nie ona. Kobieta w kapeluszu w czasie podróży zmieniła swój obiekt zainteresowań z okna na małą książeczkę wyjętą z kieszeni pięknego płaszcza. Pochłonięta lekturą nie zwróciła uwagi nawet na z hukiem otwierane drzwi, a już na pewno nie zarejestrowała ponownie wprawionej w ruch maszyny. Hałas jednak wzbudził ponowny gwar w przedziale, co oderwało kobietę od czytania. Kątem oka, tak aby nie zauważono, zaczęła obserwować zbliżającego się mężczyznę w średnim wieku o niebieskich oczach i nonszalanckim wyglądzie. Mężczyzna miał miodowe włosy założone za ucho i falujące na końcach, w słoneczne dni prawdopodobnie przypominały piaszczystą plażę. Kilkudniowy zarost, mokry płaszcz w kolorze khaki oraz niechlujnie zapięta (i niewyprasowana) koszula potęgowały efekt.

„Nie siadaj obok, nie siadaj obok, tylko nie siadaj obok” – pomyślała kobieta w kapeluszu.

Oczywiście, mężczyzna zatrzymał się obok jej miejsca i bez pytania opadł na kanapę naprzeciwko. Elizabeth podniosła głowę, spojrzała w oczy mężczyzny i już wiedziała, że tej podróży nie zakończy sama.

Wariacje na temat
Niewidomej kobiety

Antonina Popiel

Równowaga

Zegar pokazywał siedemnastą, co – jeśli liczyć od początku operacji – oznaczało już niemal dobę, odkąd kobieta leżała nieprzytomna. Mężczyźni nie dawali po sobie poznać, że pewien niepokój wkraczał w ich myśli. Siedzieli w ciszy po przeciwnych stronach niedużego pokoju, pomiędzy nimi wymownie rozpościerały się kwiaty opatrzone bilecikami z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Obaj unikali nawzajem swojego wzroku, skupieni na obserwacji kobiety leżącej na podłączonym do skomplikowanej aparatury łóżku.

W momencie gdy rozrywką obu zamyślonych postaci stała się analiza geometrycznego wzoru nadrukowanego na szpitalnej pościeli, aparat zapikał, sygnalizując przyspieszenie tętna. Kobieta poruszyła się lekko, w odpowiedzi na co mężczyźni zerwali się z krzeseł i zaraz odsunęli, ponieważ pielęgniarka szybko przemknęła obok nich i zajęła miejsce przy leżącej.

– Proszę nie podchodzić, ściągnę teraz opatrunek.

* * *

Mrowienie dużego palca w prawej stopie to pierwsze, co poczuła. Po chwili uświadomiła sobie, że do jej uszu dochodzi

delikatne pikanie. Wytężywszy słuch, usłyszała również kroki i szum przesuwanego obiektów, ale jakby stłumiony, zza ściany. Słyszała też oddech, nie, dwa oddechy i pochrząkiwanie, znacznie bliżej. Słuch miała dobry jak zawsze, co uspokoiło ją trochę. Przypomniała sobie, dlaczego leży, co się działo. Wzdrygnęła się nerwowo, po czym usłyszała szurnięcie czegoś ciężkiego i nagłe, zbliżające się kroki. Kobięcy głos, który kojarzyła sprzed operacji. Jej twarz musnęła zimna dłoń. Poczowała, że ucisk na głowie, na który dotychczas nie zwracała za bardzo uwagi, zelżał. Szorstkie bandaże zsunęły jej się po policzkach, zignorowała to jednak, ponieważ w tym momencie, pierwszy raz w życiu, ta wszechobecna pustka stała się płaską czernią. Czerń zmieniała się w brązowawe pasy migoczące na ciemnym tle. Na prośbę kobiety spróbowała poruszyć powiekami. Uchyliła je lekko i załało ją światło. Zacisnęła oczy, czuła, że napływają jej łzy. Nie zdążyła określić tego, co zobaczyła. Poczowała ręce łapiące ją za dłonie, usłyszała świst wydechów ulgi, śmiech pełen niedowierzania. Poznawała te głosy. Uświadomiła sobie, że to będzie ten moment, na który czekała, którego się bała. Tak wiele im zawdzięcza.

Widzę was.

* * *

Gdy otworzyła oczy, zapomniał o wszystkim. O każdej wątpliwości, która zrodziła się, gdy czekali. O każdym ukłuciu zazdrości. Odsunął tłącą się z tyłu głowy myśl o spłacie długu. Liczyła się tylko Ona, kobieta, dla której zrobiłby wszystko. I moment, na który czekał. Obaj trzymali jej dłonie. Jej twarz błyszczała od łez, widział jednak, jak wielką czuje ulgę, niepozwalającą jej powiedzieć więcej niż kilka słów. Była piękna, tak jak przedtem, teraz jednak ich oczy miały szansę się spotkać.

Utonął w tym spojrzeniu, lecz z każdą jego sekundą czuł lodowate szpikulce przeszywające jego kark. W jej oczach nie było tego bezgranicznego uczucia, na którego odwzajemnienie liczył. Odnalazł tam wdzięczność, zainteresowanie, radość. Nie miłość. Odwrócił wzrok, a gdy spojrzał ponownie, Ona widziała tylko tamtego. Wtedy zrozumiał. Zobaczył to w jej lekko podniesionym kąciku ust, kiedy go słuchała. W jego delikatnie przejeżdżającym po jej dłoni kciuku, który nie spotkał się z niechęcią. Poczł energię, która z tą samą siłą, jaka przyciągała ich do siebie, odpychała go. Odszedł od łóżka.

Wychodząc, odwrócił się, lecz tamci chyba nie zorientowali się jeszcze w jego nieobecności. Nie myślał już, nie potrafił się skupić na czymkolwiek konkretnym. Mechanicznie otworzył drzwi i dopiero powiew chłodnego wiatru otrzeźwił go, uświadamiając, że jest na zewnątrz. Westchnął głęboko i obrócił się w kierunku parku graniczącego ze szpitalem. Wybrał dłuższą trasę, miał wiele do przemyślenia. Liście migotały brązowawo w zachodzącym słońcu, o tej godzinie nawet blokowiska widoczne za drzewami nie wyglądały tak źle. Przetarł oczy i uśmiechnął się, pociągnawszy lekko nosem. Kolejny przeszywający dreszcz uświadomił mu, że nie ma wiele czasu. Przy wyjściu z parku spojrzał na słońce jeszcze raz. Ściemniało się.

Zorientował się dopiero przed drzwiami mieszkania. Wyciągnął z kieszeni klucze, lecz nie potrafił odnaleźć właściwego, ich kontury stały się zamazane. Słoję na drewnie framugi zlały się w jedną, ciemniejszą plamę. Zamknął oczy, przypominając sobie Jej twarz, powtarzając w pamięci każdy najmniejszy szczegół. Jeśli to już, nie może pozwolić sobie zapomnieć.

To już. Pora spłacić dług.

Olivier S.

Widać czerwień

Przebudzenie

Najpierw ujrzała Azyla. Tak, to chyba był on. Wzrok poprawiał się z sekundy na sekundę, łapiąc ostrość, obraz był jednak wciąż lekko rozmazany, jak u osoby, która się rano budzi, wszystko jest trochę przez mgłę, ale człowiek na ogół wie, że biurko to biurko, a sufit to sufit.

I choć była niemal pewna, że ten średniego wzrostu mężczyzna w kręconych włosach i o twarzy dzieciaka był jej wieloletnim przyjacielem z piaskownicy, poczuła nagle, że nie mogła do końca ufać zmysłowi, który właśnie wrócił po dziesięcioletniej ucieczce. Nie mogła tak od razu się do niego przyzwyczaić, zaufać. Jednak widziała, widziała! Poczuła naraz falę euforii, w piersi się zagotowało, jakby ktoś tam wlał kufel letniego miodu. A na skórze najdelikatniejszy prąd, szczególnie z tyłu szyi, ach, tam było tak przyjemnie. Los ją w końcu pogłaskał, uśmiechnął się do niej. To, co wtedy widziała, to, co czuła, widok Azylka... to nie miało prawa opuścić granic jej pamięci.

Azyl stał w tej lekko podartej skórzanej kurtce, dokładnie tej samej, którą nosił lata temu, gapiąc się prosto na nią zza szyby oddzielającej sale dla pacjentów od korytarza. Na jego twarzy

widniał błysk oczekiwania, a oczy wyglądały na lekko nieśmiałe i wystraszone, jak u oskarżonego na ławie chwilę przed ogłoszeniem wyroku, kiedy przez ten krótki moment, zanim spotka się z losem, słyszy ciszę. Wszystko na mgnienie oka zamarza jak sople lodu i słyszą tylko te krople, spływające sekundy decydujące o całej reszcie. Nagle Klara usłyszała jakiś głos przez mgłę, jakby słyszany z odległego pokoju.

„Słyszysz... mnie... pani... koloru... czerwono...”

Zignorowała to, jej uwagę skupiał jej własny uśmiech. Poczuli ją najpierw, jak rozciąga jej skórę na twarzy, potem ujrzała to samo na twarzy Azyla. Uśmiech coraz szerszy i bardziej dla niej jaskrawy, ten zaraźliwie prawdziwy i nie do pomylenia uśmiech Azyla. Chwilę potem krzyczał coś do tego obok (dopiero teraz go zauważyła), to pewnie był Filip. Azyl trząsał nim, trzymając za barki, w wybuchu radości, jak maniak. On już wiedział.

„Pani Klaro, słyszysz mnie pani?” To był z pewnością lekarz prowadzący. Znała ten głos, spojrzała więc w kierunku, skąd dobiegał. Otrząsnęła się. Stał nad nią mężczyzna około sześćdziesiątki. Miał siwy zarost i patrzył na nią uważnie zza okularów, w sposób nadopiekuńczy, oczekując odpowiedzi.

Ocknęła się. „A czemu miałabym pana nie słyszeć?” – spytała.

„Mówię do pani od minuty, pani nie reaguje. No, ale dobrze, pani Klaro, w zaistniałych yyy... okolicznościach, skłonny jestem panią zrozumieć. Wolałem się upewnić, że mnie pani słyszy, a zarazem przyciągnąć pani uwagę”.

„...ach, przepraszam. Słyszeć pana słyszę... Sądziłam jednak, że mnie pan doktor spyta o wzrok, bo to raczej z tym był problem, czyż nie?”

Doktor się nerwowo zaśmiał. „No tak, mhm, oczywiście, słusznie, słusznie. Ale wie Pani, ja już znałem odpowiedź na

pytanie, czy pani widzi. Dane z komputera się w tym przypadku nie mylą. No i pani Klaro, ten uśmiech nie kłamie. Jak się pani czuje?”

„Jak po wyjściu z izolatki” – powiedziała po chwili zastanowienia. „Niesamowite, panie doktorze. Nie sądziłam, że... kiedykolwiek jeszcze. Nie wiem, jak panu dziękować”.

„Świetnie. Rezultat nie mógł być inny. Mówiłem pani, jest pani w dobrych rękach. Ale przejdźmy do ważnych dla pani informacji. Będę miał do pani kilka pytań”.

„Cholera, coś bym zjadła” – powiedziała i zaczęła się śmiać jak mała dziewczynka. Doktor Rand spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem, po czym odpowiedział.

„Już niedługo, ale proszę mnie teraz uważnie posłuchać. U większości pacjentów wzrok wraca dwie godziny po wybudzeniu. Czasem trzy. Istnieje jednak mały procent przypadków, do których pani należy, w których wzrok wraca od razu. Przypadki takie jak pani nas tym bardziej interesują do celów... badawczych”.

„A jakie to ma znaczenie, panie doktorze?”

„Ech, raczej niewielkie. To znaczy... no, yyyy... formalne. Ale proszę mi jednak powiedzieć: gdy zaczęła pani znów widzieć, czy zauważyła pani coś... nowego?”

„No wie pan, oprócz tego, że po dziesięciu latach powrócił mi wzrok, to nic nowego” – odpowiedziała bez namysłu.

„Proszę się zastanowić. Pytam poważnie. Chodzi mi na przykład o... dominację koloru czerwonego, choćby przez parę minut? Jakież dygotanie powietrza, wibracje?”

„Nic podobnego, panie doktorze. Wszystko było jak kiedyś, nie zauważyłam nic, jak to pan określa... wibrującego”.

„Yyy... no dobrze, pani Klaro. W takim razie jest pani wolna, zapraszam do wyjścia. Pomalutku. Za tydzień kontrolna wizyta. A teraz proszę się... cieszyć”.

Przez chwilę doktor Rand wyglądał, jakby sam się upajał jej szczęściem. W rzeczywistości chodziło o kolejny sukces zawodowy. Trafił się przypadek bez nieoczekiwanych skutków ubocznych, które coraz częściej się pojawiały u uzdrowionych pacjentów.

Bardzo cieszyło go, że Klara Radziwiłł do takich nie należała. Nie miał przecież pojęcia, że kłamała. Ona zaś nie do końca wiedziała dlaczego.

Kawiarnia

„To co, kiedy powrót do malowania?” – zapytał podekscytowany Filip. Siedzieli w trójkę w małej, przytulnej kawiarni „Cafe Blant”. Klara, jak dawniej, paląc papierosa, podziwiała drewniane wnętrza, i te ściany wypełnione regałami książek. To wszystko odkrywała na nowo.

„Nie wiem” – odpowiedziała spokojnie, ale stanowczo. „Nie spiesz mi się”. Nie była jeszcze gotowa na powrót. Cały czas do sztuki miała pewną urazę, nieracjonalną. Bo nieracjonalnie było myśleć, że to sztuka zabrała jej wzrok. Ale jednak, malując dziesięć lat temu ten nieszczęsny obraz, straciła nagle przytomność. Gdy się obudziła, już nie widziała. Lekarze nie byli w stanie wytłumaczyć, co się stało. Pamięta do dziś te pierwsze dni, najtrudniejsze. Ciemność, rozpacz. Tęsknota za twarzami, budynkami, obrazami, za jesiennymi liśćmi. Nawet jej wyobrażenia nie była w stanie tego zastąpić.

„Świat czeka na twoje obrazy” – powiedział Filip, trzymając w ręku filiżankę kawy. Twarz mu spoważniała, tak jakby oczekiwał ważnej dyskusji.

„Talentu przed nim nie ukryjesz, Klaro, chyba że będziesz chciała ukryć”.

Azyl siedział obok, wsłuchując się w konwersację, do której postanowił nagle dołączyć. „On ma rację, Klaro” – przyznał, choć nie było to dla niego proste. Zaczął widzieć w tym Filipie, przyjacielu Klary z ośrodka, rywala. Musiał więc brać czynny udział w rozmowie. „Wielka szkoda, gdybyś osiadła na laurach. Ja wciąż w gablocie trzymam tamten niedokończony obraz. Niedokończony, ale jakże pięknie się zapowiada. Czeka na ciebie”.

„Już dajcie mi spokój. Naciskacie i naciskacie. To musi przyjść naturalnie, a nie pod presją. Myślicie, że nie pragnę wrócić do tego, co kochałam? Ale mówię wam, nie tak łatwo jest ponownie wskoczyć do basenu, w którym się kiedyś utopiło”.

„A ty znowu to samo” – odpowiedział Azyl. „Straciłaś wzrok, ale co mają do tego twoje obrazy? Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć, co się wtedy stało, gdy zemdłałaś, więc na siłę doszukujesz się winnego. To, co się wtedy stało, to wciąż dla wszystkich zagadka. No cóż, tak już działa nauka – tłumaczy nam co, ale niekoniecznie dlaczego. W tym aspekcie religia ma wciąż przewagę...”

Nagle nadleciała mucha. Latała jak opętana, w każdą stronę, odbijając się od wiszącej lampy, i znowu w kółko, leciała z pewnym ferworem i brakiem jakiegokolwiek celu. Zagubiona mucha, która nic nie widziała i nie wiedziała, dokąd zmierza. Klara poczuła do niej sympatię, zrozumienie.

„Spójrzcie na tę muchę” – rzekła.

„Ja to bym najchętniej ją wywalił, cholerę, za okno. Bzyczy i bzyczy, głupia mucha” – odpowiedział Filip.

„Nie o muchach przyszliśmy tu gadać. Nie zmieniaj tematu, Klaro” – wybrzmiał głos Azyla.

„Nie, nie, moja droga, nie odpuścimy ci. Przyniosę ci twój obraz, tamten obraz. Gdy zobaczysz tę czerwień, te odcienie,

do dziś nie dowierzam, gdy na to patrzę, takich pięknych kolorów dawno na płótnie nie widziałem. I ten stół, tak umiejętnie zaznaczone jego kanciaste, ostre brzegi. Nie pozwolę ci tego zmarnować. Tym bardziej teraz. Tym bardziej, że...”

Jednak Klara przestała go słuchać, działa się coś, co ją mocno zaskakiwało. To była mała różnica, ale mocno zauważalna. Po usłyszeniu z ust Azyla słowa „ostre” rzeczywistość właśnie się taka stała. Wszystko się nagle wyostrzyło, jak na smartfonie po kliknięciu na ekran, kiedy aparat łapie skupienie w jednym punkcie. Z tym że u niej skupienie było wszędzie, wszystko widziała aż zbyt dobrze. Wróciła mucha, a Klara dostrzegła każdy jej szczegół, każdy mikroskopijny odcień, każdy pikselek. Nie potrafiła tego do końca sobie wytłumaczyć.

Zarazem towarzyszyła jej myśl: „Muszę to namalować, muszę wrócić!”. Ten nowy sposób patrzenia na świat, ta czerwona mucha – czuła, że musi się tym podzielić. Nagle zadzwonił jej telefon. Nieznany numer. Odebrała.

„Uszanowanie, pani Klaro, z tej strony doktor Rand. Nie stała się pani na wizytę kontrolną. To bardzo ważne, żeby pani się u nas pojawiła, musimy monitorować progres. Proszę tego nie lekceważyć”. Wcisnęła guzik z czerwoną słuchawką i głosu doktora Randa już nie było.

Filip

Filip w domu włączył komputer. Kierunek – poczta mailowa. Na samej górze widniał mail, na który czekał.

Tytuł: „Tylko i wyłącznie dla twoich oczu”, zaś nadawca widniał jako długi kod. No tak, pomyślał Filip, sprytnie, musiał zaszyfrować wiadomość, żeby nikt go nie mógł namierzać.

Recki, na jego prośbę, przesłał mu tajne raporty o tzw. „Uzdrowionych” – osobach, które jak Klara i on sam zdecydowały się na zabieg przywrócenia wzroku. Rozpakował, a potem otworzył folder zip z teczkami nazwisk. Nie było tam nazwiska Klary. Było zaś jego. Otworzył, przeczytał. Nie znalazł nic nadzwyczajnego, tylko zapisy rozmów z wizyt kontrolnych, a nad nimi następujące komunikaty.

NAZWISKO: GRODZKI, FILIP

DATA OPERACJI: 22.12.2030

PRZYWRÓCENIE WZROKU PO WYBUDZENIU:

2 GODZINY, 4 SEKUNDY. NORMA

WZROK: 87%. NORMA

SKUTKI UBOCZNE: BRAK

Zamknął dokument. Interesowała go raczej paczka w folderze z tytułem: „PRZYPADKI NIEWYJAŚNIONE. ŚCIŚLE TAJNE”. Widniały tam dwa nazwiska. Przypadkowo kliknął na to pierwsze: EBERT, wkrótce dowiedział się, że pacjent ten już nie żył. Podano datę jego zgonu. Dalej było więcej raportów, a na samym dole podkreślony paragraf pod tytułem: „STRESZCZENIE OKOLICZNOŚCI”. Zaczął czytać z zacięciem.

„Pacjent widział chwilę po przebudzeniu. Był ósmym takim przypadkiem. Zgłosił od razu, że kolory widzi słabo. Na trzeciej wizycie kontrolnej pacjent poinformował, że widzi na czarno-biało. Na piątej zaś zgłosił dodatkowe komplikacje: utratę węchu i słabszy słuch. Zmarł 14.04.2031”.

Filip oczywiście wcześniej słyszał o pewnych komplikacjach. Czytał o nich, zagłębiając się w temat, przed podjęciem decyzji o zabiegu. Nie sądził jednak, że mogły być aż tak poważne. „Ryzyko zawsze istnieje” – pomyślał. „Zawsze może pójść coś

nie tak. Ale czy nie warto? Przecież widać, i ona też teraz widzi”. Przypomniał sobie wątpliwości Klary, jej strach, jak musiał nakłaniać ją do zabiegu.

„Boję się” – mówiła.

„Nie ma czego” – odpowiadał. „Co masz do stracenia?”

Może jednak miała wtedy rację? Nagle poczuł złość, złość wymierzoną w kierunku koncernu medycznego. Że zataja informacje, że być może te informacje nigdy nie ujrzą światła dziennego. Koncern był potężny, potrafił zadbać o swoją reputację, sięgając po wszystkie możliwe środki. To byli ludzie działający pod przykrywką empatii, interesował ich tylko zysk i własny tyłek. Teraz to widział. Postanowił się przewietrzyć, uspokoić, pozbierać myśli. Wstał i ruszył w kierunku wyjścia, zgarniając po drodze swój płaszcz i skórzane buty. Na dworze było już ciemno, a przydrożne lampy i samochody dawały tej ciemności przeciwwagę. Podświetlone były też billboardy, były wszędzie, reklamy każdego możliwego produktu, jaki istniał. Drażniło go to. Wolnym krokiem szedł w kierunku centrum, naszła go ochota na piwo. Minął katedrę po lewej stronie, jak zwykle zatrzymał się na chwilę i podziwiał jej architekturę. Potem szedł dalej, aż doszedł do ulicy Jagiellońskiej, gdy jego uwagę przyciągnął pewien billboard: reklama koncernu medycznego, zdjęcie młodego mężczyzny, uśmiechniętego, szczęśliwego, dość naturalnie, a pod nim cytat:

„Czynimy cuda. Podziękujesz nam, jak już to przeczytasz”.

Przypomniał sobie nagle, jak mu Klara dziękowała krótko po wybudzeniu z operacji.

„To ty mnie namówiłeś” – mówiła ze wzruszeniem. „Brakowało mi wiary i odwagi”. Byli wtedy jak dwoje noworodków świadomych swojej reinkarnacji. Wtedy poczuł się ważny, szczęśliwy,

poczuł, że odmienił jej życie, że przywrócił jej życie. Teraz jednak do głowy wkradł mu się niepokój, a wraz z nim poczucie winy.

Widać czerwień

„Nad czym tak pracujesz? Jak się zwie nowe dzieło?” – zapytał Azyl, obserwując na zmianę Klarę i jej obraz.

„To nic wielkiego. Ćwiczę kontury i cienie” – odpowiedziała.

„Dla ciebie może i nic wielkiego. Ale dla mnie, zwykłego śmiertelnika...”

„Cicho bądź. Przeszkadzasz. W sposób miły, ale jednak przeszkadzasz”.

Nastąpiła między nimi cisza, trwająca około dwóch minut. Zza okna było słychać jakieś rozmowy, przejeżdżające samochody, szczekanie psów, lato. Ten spokój zakłóciła Klara, ogłaszając głośno:

„Dobra, przerwa. Muszę odpocząć. Zjedzmy coś, hmm?”.

Lecz Azyl był pochłonięty jej dziełem. Nie mógł uwierzyć, jak dobra była. I jak bardzo uatrakcyjnia ją jej talent. No i wygląd. Miała na sobie jasnozieloną sukienkę, i te jej długie brązowe falowane włosy związane arafatką.

„Wiesz, czasem ci zazdrozczę. Masz swoją pasję, swoją podporę w trudnych momentach, i tę nadzieję, że możesz być wybitna. Tyle do uzyskania”.

„Daj spokój, Azyl, ile straciłam przez te lata, gdy nic nie widziałam! To już do mnie nie wróci”. Azyl widział w jej oczach powagę i smutek.

„Pamiętasz Anielską, z mojej klasy? Gdzie ona teraz jest, a gdzie ja jestem? Wiesz, jak się czułam, kiedy zadzwoniła matka, mówiąc, że właśnie czyta o Anielskiej w gazecie? Że wystawia w Amsterdamie? A byłam przecież w liceum

lepsza od niej, mówię ci, każdy tak uważał. Czy odzyskam to? Spróbuję z całych sił, cholera, spróbuję. Ale to już czas stracony. Świat dziś stawia na młodość, której ja nie przeżyłam. Nie wiesz, jak to jest być ciężarem. Zbędnym bagażem, który tylko zabiera komuś miejsce pod nogami..." Ażyl w ciszy przetwarzał jej słowa. Chciał ją pocieszyć, coś powiedzieć, lecz problem tkwił w tym, że miała rację.

Parę godzin później była już sama, szła promenadą wzdłuż plaży i morza. Zbliżał się wieczór. Wiatr delikatnie wirował obok niej, zaczepiając jej kieckę. Był lekko chłodny, przyjemnie chłodny. Wiatr. Pomyślała o tym, jak słowo potrafi zainspirować... Wiatr, ptak, deszcz, zaprzeczenie... I te uczucia, których być może nie dałoby się bez słów zrozumieć, bo tylko w słowie stawały się czymś namacalnym, solidnym. Spojrzała w lewo, w głąb morza, ciemnopomarańczowe słońce wciąż nad nim wisiało, stopniowo wsuwając się w kopertę horyzontu. W pobliżu kręciły się wielkie, puchate, białe chmury odbijające światło słoneczne, nadając powietrzu aurę jasnej brzoskwini. Był wczesny wieczór w lipcu.

Po raz pierwszy od operacji przypomniała sobie pytania doktora. Może rzeczywiście było w jej spojrzeniu na świat coś nowego, coś, czego wcześniej nie było. Jakaś dominacja pewnych barw nad innymi. Trochę więcej czerwieni. Zaśmiała się sama do siebie, dość cicho, patrząc w dal. Słońce nagle zadygotało, wiatr ucichł, zrobiło się cieplej. Mógł to być jakiś znak, początek czegoś złego. Ale mogło to być też jej zmęczenie, zwykłe zmęczenie. Całym sercem wierzyła w to, że była po prostu zmęczona.

Koniec.

Wariacje na temat
Strachu

Aleksandra Matczuk

Nowo odkryty (s)pokój

Idziesz wesoło korytarzem, pogwizdując. Niesiesz wielkie kartonowe pudło, które nieco przysłania ci widok. Nagle czujesz przeciąg i z zaskoczeniem dochodzisz do wniosku, że to z pomieszczenia po lewej. Odstawiasz pudło na podłogę i pchany ciekawością ostrożnie otwierasz drzwi.

Wchodzisz do pokoju, a drzwi zatrząskują się za tobą z głośnym dźwiękiem. Zostajesz otulony pogrążoną w mroku ciszą. Odwracasz się i nieco niezgrabnie szukasz włącznika. Naciskasz przycisk, ale światło uparcie się nie zapala. „Żarówka”, przemyka ci przez myśl, jednak po chwili wszelkie rozważania zostają wyparte przez przygniatającą cię ciemność. Światło księżyca ledwo co prześwituje przez zasłonę wiszącą na jedynym oknie w tym pustym pokoju, zbyt słabo, by oświetlić najciemniejsze kąty pomieszczenia.

Ten pokój to ściany, okno z kotarą, drzwi, wypalona żarówka, ty i twój strach. Bez mebli; mieli je przywieźć jutro rano.

Przełykasz głośno ślinę, drżąc. Dobrze wiesz, że to tylko twoja chora fantazja, ale boisz się nadal. Wbrew sobie robisz krok do przodu, jakbyś był marionetką.

Czy coś przemknęło po tej ścianie obok, jakiś cień?

Natychmiast rzucasz się w tył, przylegając ściśle plecami do ściany. Oddech zamiera ci w piersi, a twoje serce przyspiesza szaleńczo. Chcesz wyjść, ale coś ci na to nie pozwala; jakaś nieznana siła. Nie możesz drgnąć.

Cienie tańczą po ścianach. To dziwny taniec. Pełen grozy. Czy faktycznie usłyszałeś szelest?

Więzy psychiki lekko puszczają. Bierzesz jeden urwany oddech. Drżącą ręką na oślep szukasz klamki. Jest! Ale nie możesz jej nacisnąć.

Starasz się uspokoić oddech i tętno, lecz kolejny cień, który – jak ci się zdawało – przemknął na lewo od ciebie, skutecznie to uniemożliwia.

Błądzisz oczami po kątach pomieszczenia. Cień żarówki przypomina cień głowy wiszącej na szubienicy, ale bez korpusu i kończyn. Wyobraźnia podsuwa ci coraz to nowsze kreatury i z wyrachowaną precyzją powołuje je do życia.

Co chowa się w tym kącie?

Oddychasz nieregularnie, słyszysz, jak twoje serce galopuje w piersi. Ucieka, a ty nie możesz zrobić.

Kolejny szelest, kolejny cień. Wnika głęboko w twoje ciało, niszczy umysł.

Falująca zasłona szeleści i porusza się. Tak, to okno musi być uchylone, rozpaczliwie przywołujesz ostatki racjonalnego myślenia. Nie przemożesz się, nie ruszysz i nie zamkniesz go. Kotara nadal faluje, zupełnie jakby niecierpliwie wierciła się, czekając.

Na co?

Wyobraźnia podsuwa ci obrazy wypaczone, potworne. Czy ta zasłona nie zmienia się właśnie w krwiożerczą bestię, gotową rzucić się na ciebie, jeśli tylko się ruszysz?

Przez mgłę ciemności otaczającą twój umysł przebija się szybko jedna myśl, „Co się ze mną do cholery dzieje?!”.

Mimo to nie możesz się ruszyć, znów. Dłoń chwytającą klamkę zaciska się, kurczowo trzymając przedmiot. Drżysz, ale to całe twoje pole do popisu. Nic więcej. Przerazenie sparaliżowało cię doszczętnie.

Dyszysz nieregularnie, szybko i ciężko. Serce bije szybciej niż poprzednio. Czy to w ogóle możliwe? Zaraz rozedrze ci pierś, rozerwie niczym szpony tej kreatury czającej się w kącie... Zaraz, tam nie ma żadnej kreatury!... Ale przy tej lewej ścianie, co to za cień?! Umyka szybciej, niż twój wzrok go rejestruje.

Znów szelest. Twój nagły, dziki wrzask przerywa ciszę niczym gong. Budzi cię to; nie jesteś już bezwładną kukłą. Możesz się ruszać i natychmiast z tego korzystasz.

Naciskasz mocno klamkę i gdy tylko udaje ci się znaleźć po drugiej stronie, zatraskujesz za sobą drzwi z donośnym hukiem. Potykając się o kartonowe pudło, biegniesz na parter, do salonu, po drodze zapalając każde światło. Dygoczesz na całym ciele, serce biegnie swój szalony maraton, oddech się nie uspokaja. Padasz na prowizoryczne pościelenie na środku pokoju, złożone z materaca i poduszek, otulasz się szczerze kocem (pilnując, aby każdy centymetr twojego ciała był zakryty) i włączasz telewizor. Starasz się skupić na obrazie przedstawionym na świecącym jasno ekranie, ale nie potrafisz. Wciąż wspominasz to, co czułeś w tamtym pokoju. Ten strach, to panujące nad każdym kawałkiem twojego ciała przerażenie.

Powoli przestajesz drżeć, serce uspokaja się razem z oddechem. Coraz łatwiej jest ci skupić się na filmie lecącym w kolorowym pudle, jak zwykłeś nazywać telewizor.

Ale tej nocy nigdy nie zapomnisz. Wspomnienie z czasem wyblaknie, by budzić swe jaskrawe, wbrew pozorom, kolory w odpowiednich momentach, jednak będzie to robić coraz rzadziej. Ale nie wymażesz tego przeżycia ze swojej pamięci. Nigdy.

Oddech uspokaja się zupełnie, serce zwalnia rytm do normalnego. Nie dygoczesz już. Koc zsuwa się nieco z twojego ramienia. Po chwili usypiasz, z obrazem z telewizora w pamięci. Masz spokojny sen.

Kotara w pokoju nadal powiewa. Jest pusty.

Zuzanna Zysiek

Spokój

Biegnę. Z całych sił przemierzam drogę, która jest przede mną. Resztkami sił łapię powietrze, które drapie mnie w gardło. Dookoła jest tylko ciemność, wielowymiarowa pustka, zatopiona w moim strachu. Walczę z kończynami, które odmawiają mi posłuszeństwa podczas tego zaciętego wyścigu z czasem. Czuję, jak krew pulsuje mi w skroniach, a serce bije w całym moim ciele, nie tylko w klatce piersiowej. Krzyk, słyszę krzyk, który przesywa moje ciało, dezorientując mózg, krzyczę, tak, to ja krzyczę. Wiem, że już się nie zatrzymam. Biegnę.

Biegnę po schodach w nadziei, że zdążę jeszcze wsiąść do metra i nie spóźnię się po raz kolejny do pracy. Szefowa chyba powyrywałaby mi wszystkie kudły z głowy. Mijam setkę ludzi, którzy w porównaniu ze mną nigdzie się nie spieszą. Nie dziwię się specjalnie, już się chyba przyzwyczaiałam, że w Barcelonie nikt się nie spieszy. Przemierzam długi korytarz na Passeig de Gràcia, gdzie kilku grajków proponuje przechodniom wesołą muzykę. Za każdym razem, kiedy idę tym niekończącym się, parnym korytarzem, mówię sobie, że to ostatni raz. Wychodzi jak zwykle. Kiedy docieram na miejsce, drzwi od metra powoli się zamykają. W ostatniej chwili

wbiegam do wagonu, który zmierza w kierunku Sagrada Família. Łapię powietrze, oddychając powoli. Po chwili oddech się stabilizuje, a ja się uspokajam. Lekko wzdycham, wyrażając tym samym ulgę. Obserwuję ludzi żywo rozmawiających o codziennych sprawach. Mimowolnie wsłuchuję się w hiszpańskie słowa, które są dla mnie niczym melodia kojąca każdy ból czy zmartwienie. Gdy po kilku minutach metro się zatrzymuje, jedni pasażerowie wychodzą, inni zaś wchodzi. Codzienna rutyna podróżnych. Nie spodziewanie serce zaczyna walić mi z całym swoim impetem, nogi powoli się przede mną uginają. Nie, to nie może być prawda. Wpatruję się w człowieka, który stoi niedaleko wejścia. Czuję, jak klatka piersiowa zaciska się tak mocno, że wydaję głuchy jęk. Ręce zaczynają mi się tak trząść, że trącam kobietę stojącą obok. Kręci mi się w głowie, okropnie kręci mi się w głowie.

– Wszystko w porządku? – pyta kobieta po hiszpańsku, ale ja nie odrywam wzroku od mężczyzny przy wejściu. Paraliżujący strach nie pozwala mi odpowiedzieć. Zaczyna się odwracać, mam wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. A ta sekunda, w której się odwraca, trwa całą wieczność. Patrzę na niego dokładnie, analizując każdy element jego twarzy. Po chwili zdaję sobie sprawę, że to nie on, nie on.

– Señorita? – ponownie zwraca się do mnie kobieta stojąca obok.

– Todo bien, gracias – odpowiadam łamanym hiszpańskim i wybiegam na kolejnej stacji. Bez większego zastanowienia kasuję bilet i biegnę po schodach na górę. Opieram się o ścianę sklepu, który znajduje się zaraz przy wejściu do stacji metra. Powoli łapię powietrze, staram się rozluźnić mięśnie, które są tak napięte, że aż bolą.

– Weronika! – słyszę za swoimi plecami. Dzięki Bogu, widzę przyjaciółkę, która ze spokojem maszeruje w moim kierunku, machając ręką na powitanie.

– Co się stało? Wyglądasz jak duch! – mówi z przerażoną miną.
– Znowu go widziałam, byłam pewna, że to on, że zaraz po-
dejdzie i poderżnie mi gardło.

– Kobieto, widzisz go każdego dnia, za każdym rogiem,
od kilku lat. Powinnaś coś z tym wreszcie zrobić, bo całkiem
oszalejesz.

– Chodźmy już – odpowiadam i zaczynam iść w stronę La
Pau. Słyszę, jak wzdycha, dobiega do mnie i bez zbędnej gadki
idziemy do pracy.

Późnym wieczorem wchodzę do mieszkania i rzucając się na
łóżko. Patrzę w sufit, myśląc o drzemce, ale nie czuję zmęcze-
nia. Czuję energię, która aż we mnie buzuje, a może to stres?
Strach? Zrywam się więc na równe nogi, wkładam strój sportowy
i wychodzę trochę się odstresować.

Biegnę wzdłuż morza, obserwując ludzi, którzy łąpią ostatnie
promienie słoneczne. Przebiegam przez mały mostek, mijam
innych biegaczy, którzy kiwają mi nieznacznie. Co chwilę ner-
wowo się odwracam za siebie, jednak nie zauważam niczego
niepokojącego. Słyszę krzyki dobiegające z treningu pobliskiej
drużyny piłkarskiej, która zawsze ćwiczy o tej sprzyjającej wysił-
kowi fizycznemu godzinie. W skateparku jak zwykle masa ludzi,
wszyscy jeżdżą, śmieją się i bawią. Znowu odwracam się za sie-
bie. Ktoś za mną biegnie. Czuję nieprzyjemny dreszcz. Ponow-
nie się odwracam, ale nikogo już nie ma. Wzdycham i biegnę
dalej. Moje nogi stawiają kolejne kroki w rytm szumu morza.
Leciutko stukają o nawierzchnię, pozwalając mi się na chwi-
lę odprężyć. Czuję zapach smażonych ryb i ryżu. Przebiegam
obok ostatniego baru rybnego na trasie i zmierzam w kierunku
skalistej plaży. Odwracam się nieznacznie za siebie. Ktoś bieg-
nie za mną, jakiś mężczyzna. Nie. Uspokój się. Nie panikuj.
Zaczynam biec szybciej, zmieniam trasę. Liczba mijanych ludzi

znacząco się zmniejsza. Ale ja biegnę dalej. Szybko się odwracam, jednak on nadal tam jest. Przyspieszam, znacząco przyspieszam, by uciszyć głos w mojej głowie. Czuję gulę w gardle, która rośnie z każdą kolejną minutą, z każdym kolejnym przebiegniętym przeze mnie metrem. Widzę skalistą plażę, która zaczyna wynurzać się przede mną. Staram się połykać powietrze, żeby się nie udusić. Widzę w oddali zachodzące słońce. Topi się w morzu, znikając za horyzontem. Czuję mocny ucisk na płucach, które nie chcą już przyjmować powietrza. On jest za mną, stawia kroki w rytm bicia mojego serca, szybciej, coraz szybciej. Nagle zatrzymuję się, zatrzymuję się wbrew sobie, wbrew temu, co się zaraz wydarzy. Zatrzymuję się. Ledwo stojąc na nogach, rozglądam się dookoła, ale nic nie widzę. Wysoka skała, na której stoję, i morze, morze, które nieoczekiwanie zaprasza mnie do siebie. Nim zdążę się zastanowić, on jest już obok mnie, czuję jego oddech na karku, nim zdążę zareagować, on już popycha mnie w przepaść. Ostatnim spojrzeniem zwracam się ku oddalającej się skale, która pozostaje całkowicie pusta...

Widzę, jak moje martwe ciało uderza o ziemię, nagrzaną od cieknącej krwi. Czuję zapach mojej skóry, która kiedyś oddychała bólem całego świata. Słyszę cichą muzykę, grającą w mojej głowie, ostatnią piosenkę – piosenkę pogrzebową. Moje oczy są szeroko otwarte, mimo że niczego już nie widzą. Moja klatka piersiowa się już nie unosi, mimo że do płuc wciąż dostaje się powietrze. Moje uszy pozostają głuche, mimo że wciąż słyszą muzykę, która gra w rytm bicia mego serca coraz ciszej i wolniej, aż w końcu przestaje i milknie.

i jest spokój
tylko spokój.

Oskar Djangmah

Szczyście

W ten parny wieczór każdy ze zmysłów napawa mnie innym uczuciem. Wizualnie jak zawsze wszystko wygląda niesamowicie. Fiolety i róże wieczornego nieba sprawiają, że czuję się, jakbym mogła zmienić się z ciała stałego w ciecz i rozplnąć jak rozlana benzyna, mieniać się całą gamą kolorów (w tym różów i fioletoów). Tak, to moje ulubione kolory. Jak piękne byłoby moje otoczenie, smród padliny niewysuszonej jeszcze przez temperaturę i światło przyprawia mnie o mdłości, a oczy łzawiły mi jak wtedy, kiedy jakaś dziewczyna uderzyła mnie w nos. Zazdrosna psychopatka. Boże, jak ja nienawidzę przemocy, zawsze gdy tylko ludzie zaczynają krzyczeć i zapowiada się na jakieś zamieszanie, staram się szybko oddalić.

Niestety na tej niemalże pustyni nie znalazło się miejsce na rozczulanie się nad krzywdą innych, zwierząt czy ludzi. Wczoraj zjadłam węża, który smakował wyśmienicie, a tydzień temu posiliłam się wysuszoną nogą innego nieszczęśliwego śmiałka, który również odważył się na opuszczenie Aristii. Nasz kraj od dawna nękanym jest suszą oraz najazdami sąsiadów. Nie do końca sprawdzoną metodą na opuszczenie go jest złapanie pociągu na jedynej linii kolejowej oddalonej o jakiś miesiąc

wędrowki pieszo. Niestety nikt jeszcze nie wrócił z tej wyprawy, bo albo zginął po drodze, albo dostał się na pociąg (mam nadzieję). Taka forma wyjazdu z kraju jest także jedyną, ponieważ dookoła roztaczają się nieskończone i nieprzebyte zaspy piasku, czasem zakłócone tundrą. Pochłonęły one już tysiące istnień.

Nie demotywuje nas to w żaden sposób, ponieważ rządy naszego obecnego przywódcy, „Ernesta III nieznanego umiaru” (przydomek ten przyjął się, ponieważ wszyscy wiedzą, że nadużywa świętych kaktusów, dzięki którym możemy porozumiewać się z bogami, oraz zawsze namawia innych, bo jak to mówią, „nie lubi zażywać ich sam”), pozostawiają nasz kraj w ruinie oraz korupcji. Więc tak, jak wspominałam, od ponad dwóch miesięcy wędruję po pustyni, teraz już odnalazłam przynajmniej tory, niektórzy polegli jeszcze przed tym.

Nie mam za to wody, gdyż ostatnie zapasy rozlałam podczas walki z troglodytami, rdzennymi mieszkańcami pustyni. Podobno nasze gatunki mają wspólnych przodków, ale sama myśl o tym napawa ludzi obrzydzeniem, więc nikt nie próbował zawrzeć z nimi pokoju, i wcale nam się nie dziwię. Od lat troglodyci zabijają naszych pobratymców podczas najazdów na nasze osady. Suchość w ustach jedynie przypomina mi o tym, że mój koniec może być bliski. Po siedmiu godzinach wędrowki wzdłuż torów dostrzegłam w oddali coś leżącego na ziemi. Serce prawie mi stanęło, gdyż zbliżała się godzina pojawienia się pierwszego księżycy. Oznaczało to, że przez najbliższe dwie, trzy godziny Suntry Syjamskie będą żerować na swoich terytoriach. To niezwykle, przypominające dwugłowego węża stworzenie o czarnych łuskach jest piekielnie inteligentne i niebezpieczne. Nawet troglodyci unikają bliższych spotkań z tymi osobnikami.

Nie miałam jednak innej możliwości, niż sprawdzić, co tam się dzieje, gdyż fakt, że jeszcze jestem przytomna, zawdzięczałam jedynie olbrzymiemu kapeluszu, który chronił mnie przed nieubłaganie palącą, złotoniebieską kulą gazu emanującej energii. Dziwne, że nikt jeszcze nie wymyślił jej nazwy, to byłaby pierwsza rzecz, którą bym nazwała, będąc jednym z mistrzów języka. W sumie kto mi zabroni, niech będzie hmhhh słońce, nie, nie, to brzmi jakoś banalnie, w ogóle nie pasuje. Może Kazakh, tak, to o wiele bardziej definiuje tę przerażającą siłę królującą w otaczającej nas przestrzeni. Mam nadzieję, że nie spadnie nam na głowę, gdyż wygląda, jakby się do tego zbierał. Dziwi mnie, że jeszcze tego nie zrobił. A więc zebrałam w sobie całą odwagę i ruszyłam do nieznanego obiektu, mam nadzieję, że nie Suntry.

Jak to bywa na pustyni, dotarcie do nowo obranego celu zajęło mi około dwóch godzin. Na szczęście na pierwszy rzut oka wygląda to na człowieka. Wykonuję jeszcze kilka niepewnych kroków. Tak! To na pewno człowiek. Uspokojona podchodzę do w półprzytomnego mężczyzny. Siuuuu, wężopodobna głowa wynurzyła się z piasku i zatopiła kły w miejscu, gdzie jak na złość zrobiłam sobie tatuaż na szczęście, na podbrzuszu. Ból oraz trucizna od razu zwały mnie z nóg, wywołały gwałtowne konwulsje, w następstwie których gardło zaczęło mi puchnąć i ograniczać dostęp powietrza. PIEPRZONA SUNTRA! Jedna z głów „założyła” na siebie włóki ludzkie oraz dała im troszkę siły życiowej, aby odzyskały kolor. Paskudne stworzenia, nie powinnam ich lekceważyć. No nic, przynajmniej nie będę czuć, jak mnie zjadają żywcem, chociaż tyle w nich empatii dla zwierzyny. Z tą myślą odpłynęłam w nieskończoną cichą i zaskakująco uspokajającą czerni, może to przez czarne łuski Suntry, która pewnie już zaczęła mnie konsumować... Obudziło mnie chluśnięcie wody w twarz.

– A-a, ale jak to? – zapytałam, jak sądziłam, powietrze. Wniosując po chłodzie, Kazakh zaszedł już za horyzontem. – Przecież powinnam nie żyć, jak to się stało, czy to wy, bogowie, pomagacie mi w tych ciężkich chwilach?

– Nie, moja droga, to nie bogowie, chociaż władam mocami, którymi niejedno bóstwo chciałoby się pochwalić – odpowiedział męski, słodki głos, który dał mi natychmiastowe poczucie bezpieczeństwa.

– Och, dziękuję nieznamomy. Jak cię zwą? Kim jesteś? – zapytałam z wdzięcznością.

– Możesz w to nie wierzyć, ale jestem jednym z opiekunów tej pustyni, zwą nas Sal Ma Tan. Nie mam imienia, lecz możesz zwracać się do mnie Sal.

Znów zaszumiło mi w głowie, czyli to jednak prawda! Sal Ma Tan istnieją, wiedziałam, od zawsze wiedziałam, że to nie tylko legendy, jak mawiała starszyna. Miał nawet na sobie charakterystyczny mieniący się odcieniami szarości (oznaczają neutralność wobec wojen) płaszcz, nasączony w nieznanym mi sposób krwią przeciwników pokonanych przez opiekuna. Chronił on przed atakami oraz przed żarem Kazakh. Zakończony był frędzelkami, które skojarzyły mi się z różami rosnącymi w oazach. Białoniebieskie kwiaty, z niespotykanymi białymi kolcami. Tak samo jak Sal pachniały świeżo jak mech, na którym osiadła rosa, do tego trzeba byłoby domieszać zapach, jaki wydzielają pustynne pająki Sin-Tor, aby zwabić zwierzynę. Przypomina on cytrynowe pałeczki cukrowe z cynamonem, które sprzedawane są przez starego Kapłana w centrum naszej osady. Gdy tylko o nim pomyślę, przypomina mi się dzieciństwo.

Woń Sala miała w sobie jeszcze jakiś element, którego nie mogę opisać. Sprawiał on, że gdyby ktoś chciał mnie stąd

zabrać, to bez wahania wgrzyłabym się mu w gardło. Dokładnie jak ta parszywa Suntra, może jednak aż tak się nie różnimy.

Co do całego wyglądu opiekuna, był dość niespotykany. Twarz pociągła i wysuszona przez pustynne wiatry z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, przyprawiona o bliznę ciągnącą się od zewnętrznego krańca prawego oka, przez policzek, aż do czubka brody. Chociaż wyglądał staro, nie brakowało mu seksapilu, a zdecydowanie nie brakowało mu wydziwki mądrości i doświadczenia, które płynęły z niego jak wezbrana w porę deszczową rzeka (znam to tylko z książek, gdyż nasze rzeki to bardziej strumyczki). Dość szczupłe, ale dobrze zbudowane ciało ukryte było pod białą koszulą, na nogach miał dziwne półsandaly z odstłoniętą wewnętrzną częścią stóp. Luźne przewiewne spodnie też były nasączone krwią i magią. Także miały odcienie szarości. Były natomiast podszyte białą nicią, co wyglądało jak pajęczyna w siedliskach Sin-Tor. Był ścięty na krótko oraz miał białe gęste włosy. Uszy, lekko zniekształcone, przylegały blisko czaszki. Obydwa były przebite kostkami jakichś stworzeń, które służyły jako ozdoby. Jego wizerunek miał elementy, których nie pojmowałam. Po pierwsze, jak może być tak gładko ogolony na tym zapomnianym skrawku planety? Następnie idealnie biała koszula. Przecież niedawno pokonał tę paskudną Suntrę, nie wierzę, że nie ma na sobie nawet plamki. I skąd wzięły się u niego te bujne włosy? Chociaż krótkie, były gęste jak włoski tych włochatych dżdżownic, których zawsze się trochę bałam, lubią cień, więc często można znaleźć je pod łóżkiem albo w bucie. Eh, aż przechodzą mnie ciarki, gdy o nich wspominam. Pomyśleć, że jedna weszła mi kiedyś do buzi, gdy spałam. Tego uczucia nigdy nie wymażę z mojej pamięci, i jeszcze ten mętny brązowo-zielonkawy kolor, fuj.

Ok, koniec, bo jeszcze popadnę w jakąś paranoję. Nie mogę już dłużej tak milczeć i mu się przyglądać, bo robi się dziwnie. Poza tym nie jest do końca człowiekiem, więc pewnie stąd biorą się te rozbieżności.

– Sal, spadłeś mi z nieba, teraz na pewno odnajdę pociąg, który zabierze mnie z tego nikczemnego miejsca. – Jednak wyraz jego twarzy nie dawał pozytywnych sygnałów, był niemal przepraszający, zaczęłam się martwić.

– Niestety, młoda damo, odpowiedział. Pociągu nie widziałem już ponad trzy tysiąclecia i wątpię, żeby jeszcze kiedykolwiek się pojawił. – Osłupiałam z niedowierzania, moje oczy zrobiły się szkliste i zaczęły cieknąć mi łzy.

– Czyli wszyscy ci ludzie, którzy wyruszyli na jego poszukiwania, zginęli?! – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak, przykro mi, teraz możesz wracać do siebie, bo jak wiesz, nie uda ci się przebyć pustyni.

– Błagam, nie! – wykrzyczałam; wolę umrzeć, niż wrócić pod rządy tego idioty i tego całego jego sztabu bęcwałów. – Uwolnij mnie, proszę, od tej smutnej rzeczywistości.

Twarz mojego wybawcy spochmurniała, zerwał się z grymasem zniesmaczenia na równe nogi.

– Jak śmiesz drwić z piękna kreacji! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakiego zaszczytu dostąpiłaś. Głupie istoty ludzkie. Za grosz w was wdzięczności i zrozumienia. Zamiast uciekać przed rzeczywistością, zmień ją i pomóż tym, którzy również się z nią zmagają. Ucieczka jest domeną słabych, a skoro dotarłaś aż tutaj, wątpię, byś była jedną z nich. A teraz idź, idź, powiedz ludziom, co zobaczyłaś, i uratuj ich przed niesprawiedliwym losem.

Po tych słowach rozplynął się niczym fatamorgana, do której się zbliżałam. Drogę powrotną rozpoczęłam zrozpaczona, ale też świadoma siły, jaką dały mi słowa Sala.

Siły przeznaczonej do zmiany świata.

Jakub Russak

Z rejestru najgorszych snów

– Zaczynamy wtedy, kiedy będzie pan gotów – rozległ się głos z interkomu. Leżałem na wygodnym, obitym sztucznym materiałem fotelu. Białym, podobnie jak cała reszta tego nieco klaustrofobicznego pomieszczenia, składającego się z drzwi wyjściowych i szyby z matowego szkła, zza którego obecnie pewnie obserwowało mnie kilku naukowców, w tym posiadaczka tego sympatycznego głosu, która przed chwilą obwieściła ów komunikat. Był też wcześniej wspomniany fotel i cały ciąg nieprzyjemnie wyglądającej aparatury, mieszaniny kabli i podłączonych do mojej głowy elektrod.

Wziąłem kilka głębszych oddechów, wiedząc, że nie będę gotów, lecz powiedziałem:

– Miejmy to już za sobą. – W przeciągu następnych paru chwil nie stało się nic, abym chwilę później poczuł delikatne, nieznaczne ukłucie z tyłu głowy.

W tej chwili pomieszczenie zaczęło się zmieniać, nabierać kolorów, deformować przed moimi oczyma na różne sposoby. W jednej sekundzie modernistyczne wnętrze zdawało się przypominać dziwaczny, surrealistyczny obraz rajy z wizji Hieronima Boscha, by w następnej nabrać znowu bliżej nieokreślonych

kształtów. Początek był abstrakcyjny, jednakże nie zajęło długo, aby wizje zaczęły się urealniać, nabierać wiarygodności.

Pokój wypełniła woda, a ja, unosząc się, nie mogłem znaleźć skrawka przestrzeni, który pozwoliłby mi wziąć oddech. Woda zniknęła. Ściany zaczęły się zwięzać, aż nie było już miejsca nawet na kiwnięcie palcem. To też minęło. Następnie spod szczelin zaczęły wychodzić pająki – wiele pająków. Pająki zaczęły się przeistaczać w słonia na wrotkach, tylko po to, aby ten w przeciagu kolejnej chwili rozpuścić się, pozostawiając przerażający szkielec i plamę smolistej cieczy. Koszmary pojawiające się przed moimi oczami nie dawały mi ani chwili wytchnienia: kiedy tylko pozwalałem sobie nabrać przekonania, że to, co widzę, nie jest prawdziwe, przychodził kolejny, mniej wiarygodny, bardziej przytłaczający, wywołujący uczucie ścisku gdzieś w przetyku.

A kiedy to wszystko minęło, pomieszczenie znów wróciło do normalności, a naprzeciw mnie stałem ja. I tyle, nic więcej. Wpatrywałem się w swoje bladozielone oczy, przyglądałem się z niesmakiem pomiętemu rękawowi koszuli, nawet ta oponka na brzuchu, która pojawiła się dosyć niedawno i bynajmniej nie była proszona, znajdowała się na swoim miejscu. A jednak, bez wahania mogłem orzec, że ten obraz był najstraszniejszy ze wszystkich dotychczasowych.

Siedzieliśmy tak naprzeciw siebie dłuższą chwilę, kto wie, to mogły być godziny, mogły być minuty. I mimo że w tym momencie zdawałem już sobie sprawę, że to wszystko to symulacja, to nie mogłem przestać odczuwać pewnej niechęci do tego, co zobaczyłem.

Przynajmniej do czasu, ponieważ do każdego obrazu można się przyzwyczaić, kiedy jest się na niego wystawionym

odpowiednio długo. A im dłużej patrzyłem, tym bardziej zacząłem zwracać uwagę na pozytywne strony. W zasadzie mógłbym się nawet przeprosić z tymi włochatymi nóżkami pajaków, gdyby tylko dano mi czas: jakby się głębiej nad tym zastanowić, są całkiem sympatyczne.

Zamknąłem oczy, a kiedy je znowu otworzyłem, wszystko wróciło na swoje miejsce, tak jak to było przed rozpoczęciem eksperymentu.

– Wszystko w porządku? Odnotowaliśmy wzmożoną aktywność pańskiego mózgu. Co pan widział? – rozległ się znowu głos.

– Nic takiego – odpowiedziałem.

Katarzyna Kobiór

Tańcz

Leżąc na zaplamionej pościeli, przysłoniła oczy nadgarstkiem, próbując oddzielić się od rażącego światła ekranu telefonu. Na ekranie blokady kłębiło się od powiadomień, do których ignorowania była już przyzwyczajona. Jednak na samej górze stosu piętrzących się prostokątnych okienek zobaczyła skróconą wersję otrzymanej przed chwilą wiadomości.

– Do klubu, huh? – W pokoju było ciemno, chociaż zegar w telefonie pokazywał południe. Nigdy nie odsłaniała tu zasłon czy rolet, w każdym razie nie pamiętała już, kiedy zrobiła to po raz ostatni. Zapach niewietrzonej od dawna przestrzeni powodował ból głowy.

Słowa „do klubu” wypełniły jej myśli, całkowicie wybijając z dotychczasowego letargu, po prostu leżenia i gnicia. Do klubu.

Uśmiechnęła się krzywo sama do siebie, oczy wlepione miała w sufit. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz wyszła z domu, a znajomi proponują jej klub. Taniec, drinki, zabawę. Osobie, która od dwóch tygodni nie umyła nawet włosów.

Fakt, że ktokolwiek pamiętał o jej istnieniu, wydawał jej się teraz niesamowicie zabawny. Ignorowała wszystkich dookoła, łącząc z samą sobą, bo nie miała po prostu siły. Siły, żeby się umyć,

zmienić ubrania, zjeść porządny posiłek, a miała mieć siłę, żeby wyjść i czuć się dobrze? Żeby się bawić?

Leżąc z telefonem w jednej ręce, drugą ręką miętosiła klejącą się od brudu pościel i myślała. Obracała się z boku na bok, a tłuste włosy przyklejały się jej do policzków. Ciężko się myśli, kiedy twój pokój pachnie potem i resztkami pizzy z piętrzących się pod ścianą kartonowych pudełek. A jeszcze ciężiej myśli się, kiedy nie masz siły żyć.

Wyciągnęła rękę pionowo do góry, jakby próbując dosięgnąć sufitu. Otworzyła i zamknęła dłoń kilkakrotnie, poruszała palcami.

– Może i nie mam na to siły, ale jeszcze żyję.

Myjąc zęby po raz pierwszy w tym tygodniu, poczuła, że krwawią jej dziąsła.

* * *

Szybko zaczęła żałować swojej decyzji. Po całym popołudniu, które spędziła na doprowadzeniu się do porządku, nadal czuła się okropnie. Wszystko ją bolało i piekło, opuszki palców od pośpiesznego obcinania paznokci, skóra od intensywnego szorowania. Z zacięcia na nodze odpadł świeży strup, a strużka krwi spływała jej teraz po nodze, tuż pod cienkimi rajstopami.

Nie wyglądała najlepiej, trudno było się dziwić. Doprowadzenie do stanu używalności tygodni zaniedbania, w kilka godzin, było nie lada wyczynem. Nic dziwnego, że nie podołała. Obcisła sukienka, chociaż przepiękna, nosiła znaki pośpiesznego prasowania, w postaci zmięć i zagniotów.

Przede wszystkim wiedziała, że musiała wyglądać na zmęczoną, co było ironiczne, bo przecież przesypiała większość dnia. Cieni pod oczami nie chciała zakryć żadną ilością makijażu.

Znaczyły jej skórę znamiona zmęczenia. Wyraźne jak u pracoholika, kiedy w rzeczywistości jedynym, co ją męczyło, była jej własna głowa.

Muzyka huczała na sali, wywołując w uszach cichy pisk. Światła odbijane przez dyskotekową kulę sunęły po wyłożonych czarnymi kafelkami ścianach, tańcząc i pląsając, zdawałoby się, w takt muzyki. Prawie tak samo jak tłum kolorowych ciał na parkiecie, wyginających się w rytm melodii.

Ona oczywiście nie weszła na parkiet ani razu. W sumie to ani na moment nie liczyła, że da radę zatańczyć. Chociaż może przez chwilę? Lecz była to na tyle odległa myśl, że nie brała jej pod uwagę. Przysypana ciężarem głosów z jej głowy, została natychmiastowo zduszona. Zabita.

Nie była pewna, ile czasu spędziła w klubie. Tak właściwie nie do końca ją to obchodziło, chciała po prostu wyjść, zaszyć się z powrotem w mieszkaniu. W ciszy. Przed wyjściem upewniła się tylko, że nikt z jej znajomych jej nie szuka. Wszyscy byli jednak tak zajęci zabawą, że nawet nie zauważyli jej wyjścia.

Wracając, odruchowo napisała SMS-a do przyjaciółki, dziękując za udaną zabawę. Nawet jeśli nie była szczególnie udana i trudno było ją nazwać zabawą.

Przynajmniej spróbowała, tak? I dowiedziała się, że nie daje rady, w każdym razie nie teraz i nie w najbliższym czasie. Teraz może wrócić do zapuszczania włosów na ciele i brudu pod paznokciami.

Nie złapała taksówki, nie miała na to pieniędzy. Rzuciła w końcu pracę jakiś czas temu i żyła na oparach odłożonej swego czasu gotówki, starając się jakoś przeżyć z dnia na dzień. Czasem rodzice przysyłali jej drobne sumy, co nie znaczyło wcale, że stać ją było na luksus taryfy.

Wracała więc pieszo. Żółte światła pobliskich lamp odbijały się w kałużach, które zdołały chodniki. Pamiątki wczorajszej burzy.

Pod swój blok dotarła zziębnięta, ledwo łapiąc oddech.

Po tak długim czasie niewychodzenia gdziekolwiek, spacer spod klubu pod mieszkanie zmęczył ją dużo bardziej niż powinien. Sprawy nie ułatwiały buty na obcasie, które obtarły jej pięty aż do krwi. Czerwona posoka zaschła, przyklejając rajstopy do jej poranionych pięt.

Z niechęcią zaczęła wdrapywać się po schodach, starając się dotrzeć do swojego mieszkania na przedostatnim piętrze budynku. Naprawdę była zmęczona, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, i nie marzyła o niczym bardziej niż o zamknięciu się w sypialni i zatrzaśnięciu drzwi.

Dotarcie na jej piętro zajęło chwilę, budynek był wysoki. Ostatnie schodki pokonywała już z największym wysiłkiem i przymkniętymi z wyczerpania oczami. Stawiając obie stopy na swoim piętrze, stanęła bezpośrednio naprzeciwko drzwi do swojego mieszkania. I pewnie odetchnęłaby z ulgą, gdyby nie fakt, że drzwi do jej mieszkania nie były zamknięte.

Wręcz przeciwnie, były nawet lekko uchylone, a wewnątrz paliło się światło.

– Czy ja zwariowałam? – wyszeptała, na tyle cicho, że równie dobrze mogła to powiedzieć tylko we własnych myślach.

Za wszelką cenę próbowała przywołać w pamięci moment zamykania drzwi, ale teraz nie umiała sobie nic przypomnieć. Nie wiedziała, czy to ze zmęczenia, zdezorientowania czy może ze strachu. Po prostu nie pamiętała, czy zamknęła drzwi. Może to ona zostawiła je otwarte? Ale w takim razie skąd światło?

Postawiła krok przed siebie, jeden, potem drugi, później jeszcze następne, aż nosem praktycznie dotykała drzwi. Teraz widziała wyraźnie, wewnątrz naprawdę paliło się światło. Chyba w salonie? Dodatkowo słyszała coś, jakby... gramofon.

Poczuła, że serce zabiło jej mocniej w piersi, a dłonie stały się zimne. Nie wiedzieć czemu postanowiła iść dalej. Uchyliła drzwi, weszła do przedsionka, starając się być cicho. Przez chwilę czuła się, jakby wcale nie wchodziła do swojego mieszkania, tylko do kompletnie obcego miejsca, bo kto normalny wkrada się do własnego domu?

Przed wejściem do salonu zacisnęła dłonie w pięści.

Wewnątrz pokoju było jasno, chociaż jedynym źródłem światła była lampa podłogowa stojąca w jednym rogu. Na gramofonie leniwie kręciła się płyta, trochę wolniej niż powinna. No i pośrodku pokoju stał on.

Mężczyzna skórę miał ziemistą, pokrytą dziwnymi plamami, a jego oczy wydawały się zapadnięte w głąb czaszki. Jego ubrania były brudne i poszarpane, wyglądał, jakby ostatnie dni... nie, tygodnie, spędził na ulicy. Twarz natomiast wykrzywioną miał w szerokim, białym uśmiechu.

– Ach, cudownie, wróciłaś – zaczął mężczyzna, a kobieta poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. Jego głos przypominał jej dźwięk nienastrojonych skrzypiec.

– I nawet jesteś odpowiednio ubrana. Zaczynamy. – Kończąc zdanie, mężczyzna wyraźnie się ożywił, żeby zaraz potem, pełen entuzjazmu, podbiec do obracającego płytę gramofonu.

Przełączał przez chwilę przyciski, aż płyta zaczęła kręcić się w odpowiednim tempie.

– Na co jeszcze czekasz? Tańczymy! – Mówiąc to, zaczął zbliżać się do kobiety, która momentalnie wzdrygnęła się na jego widok, odruchowo stawiając dwa kroki w tył.

– Nie, nie, nie ma uciekania, jest tylko tańczenie. – Wyciągnął przed siebie rękę w zapraszającym geście.

Dziewczyna dopiero teraz zauważyła, że włamywacz w drugiej dłoni trzyma nóż. Z obawy o swoje bezpieczeństwo postanowiła chwycić dłoń mężczyzny.

Włamywacz był szybki. Kiedy tylko poczuł dłoń kobiety dotykającą jego własnej, chwycił ją mocno i przyciągnął do siebie. Jego ręka momentalnie powędrowała za plecy dziewczyny, obejmując ją w pasie. Druga dłoń, ta, w której trzymał nóż, powędrowała za szyję dziewczyny. Przedramię oparł na jej barku, końcówkę ostrza wbijając w przeciwległą łopatkę kobiety.

Sekundę później obracał nią i prowadził w tańcu, a ta nie nadążając, deptała mu stopy. Jemu jednak zdawało się to nie przeszkadzać, wręcz przeciwnie, poruszał się tylko szybciej, gołymi stopami szurając po dywanie.

Ona natomiast poczuła, że serce stanęło jej w gardle, a do oczu mimowolnie napływają łzy. Starła się nie patrzeć na niego, unikać jego wzroku, a jednocześnie nadążać za krokami. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, obrót i znowu. Czuła, że powoli traci oddech, ze wszystkich sił próbując się uspokoić. Ale nie umiała, wiedziała, że hiperwentyluje, że zaczyna panikować. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.

– Widzisz, gdybyś tylko umiała zatańczyć na imprezie, może nigdy byś mnie nie spotkała.

Zuzanna Zysiek

Skarb

Dziś

Zerkam na czarne puzzle leżące tuż przede mną, ich smolisty kolor wprowadza mnie w przedni humor. Wędruję po nich wzrokiem, zastanawiając się, jak znaleźć wśród tych samych elementów te dwa, które będą do siebie idealnie pasować. Szybko znajduję, ale nie pasujące do siebie puzzle, lecz analogię pomiędzy nimi a życiem. Człowiek szuka swojej drugiej połówki, wybiera ją spośród z pozoru tych samych ludzi, ale jest tylko jeden puzzle, który pasuje do drugiego. Przypominam sobie ją, była...

– Wujku, czemu nie układasz? – ze smutkiem pyta mnie mój bratanek, wyrывая mnie z głębokiej analizy rzeczywistości.

– Wujek się trochę zamyślił – odpowiadam i czochram młodemu włosy – ale już biorę się do pracy. – Uśmiecham się lekko, a Fabian odpowiada tym samym.

Podnoszę jeden z puzzli i na siłę próbuję go dopasować do drugiego, niestety z marnym skutkiem. Odwracam głowę w kierunku okna, zatrzymuję wzrok na niesamowicie żółtym rzepaku. Widzę małe owady, które z radością nad nim fruują. I te ptaki, słyszę ich śpiew, stoją dumnie na linii wysokiego

napięcia i wyśpiewują niczym chór, zdzierając sobie przy tym gardło. Ja jednak czuję jedynie nostalgię z nutką melancholii.

– Już nie chcę układać puzzli. Mogę iść pobawić się na dworze? – pyta Fabian i zerka na mnie w cichym oczekiwaniu na odpowiedź.

– Jasne, młody, leć, tylko nie wychodź na ulicę – mówię.

– Dobrze Wuja – szybko odpowiada i znika w drzwiach.

Leniwym krokiem idę w kierunku kuchni, gdzie czeka na mnie zlew pełen naczyń do zmycia. Mimowolnie wzdycham i zabieram się do pracy. Kiedyś to ty zmywałaś naczynia, lubiłaś to robić, mówiłaś, że to cię relaksuje, że przy tym odpoczywasz. Kiedy przychodziłem popatrzeć, jak to robisz, uśmiechałaś się do mnie, po czym chlapałaś mnie wodą i wyganiałaś z kuchni. Udawałem wtedy, że wychodzę, stawałem przy wyjściu i patrzyłem, jak z od-daniem szorujesz każdy talerz. Wszystko zawsze robiłaś z takim zaangażowaniem.

– Wujek! Wujek! Wujek! – krzyczy Fabian, wbiegając do kuchni.

– Co się stało? Czemu jesteś cały brudny? – pytam ze zdziwieniem.

– Wykopałem skarb! – odpowiada młody, strasznie nabuzowany.

– Skarb? Jak to wykopałeś? – znowu pytam, wykrzywiając twarz w geście niezrozumienia. Ale Fabian nie odpowiada, łapie mnie za rękę i ciągnie w kierunku ogrodu. Kiedy jesteśmy już na zewnątrz, widzę dziurę wykopaną w trawie. Obok siedzi chłopiec i uśmiecha się do mnie szeroko – syn sąsiada.

– Kacper dostał wykrywacz metalu, szukaliśmy skarbu w ogrodzie i znaleźliśmy! – mówi podekscytowany Fabian, pokazując metalową puszkę znajdującą się wewnątrz dziury. Widzę ją, poznaję tę puszkę. Tak, to na pewno ona. Robi mi się gorąco, serce wali mi z całych sił, podchodząc jednocześnie do gardła. Patrzę na młodego i zastanawiam się, co mogę właściwie teraz zrobić.

– Nie wolno kopać komuś w ogrodzie – mówię, spoglądając gniewnie na chłopców. – To nie żaden skarb tylko moje prywatne rzeczy – dodaję, bo nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Wyciągam puszkę z dziury i powoli odchodzę, zostawiając skołowanych chłopców za sobą.

– Zakopcie tę dziurę natychmiast – dodaję na odchodnym i przyspieszam kroku. Wpadam do domu i szybko wbiegam na górę do sypialni, zamykam drzwi na klucz. Próbuję złapać oddech i uspokoić tętno. Kiedy mi się to udaje, otwieram puszkę, puszkę Pandory mojego życia. Oglądam przedmioty znajdujące się w środku, szczoteczka do zębów z różową rączką, pamiętnik z niebieską okładką, zdjęcia, twoje zdjęcia, ty, taka piękna, uśmiechnięta, szczęśliwa. I ostatni element – pudełeczko. Odkręcam je powoli, ściągam wieko i widzę, są, piękne – twoje zęby...

Wtedy

Idziesz, swobodnie przemieszczasz się, nieznacznie się rozglądasz. Wiatr leciutko pieści twoje kruczoczarne włosy. Masz sukienkę w kwiaty, lubisz kwiaty. Często wybierasz garderobę, która jest kolorowa, kwiecista. Zawsze idziesz przez ten park o tej samej godzinie. Białe słuchawki w uszach, telefon w ręku. Czasami z kimś rozmawiasz, widać to po ruchu twoich warg. Są grube, delikatnie zaczerwienione od szminki. Innym razem słuchasz muzyki, najprawdopodobniej są to piosenki, które dobrze znasz. Czasami słyhać, jak podśpiewujesz nie za głośno, kołysząc się przy tym do rytmu.

Zerkam na zegarek – lada chwila powinnaś pojawić się na horyzoncie. Dziś się poznamy, dziś pierwszy raz spojrzysz mi w oczy, zakochasz się we mnie. Dziś zaczniesz się nasze wspólne życie.

Dziś

Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, nigdy nie chciałem zadać ci bólu. To ty to zrobiłaś, to ty skrzywdziłaś mnie, to ty zabiłaś mnie, nie ja ciebie. Kochałem cię najmocniej, jak potrafiłem, to ty mnie nie kochałaś. To ty zniszczyłaś nasz wspólny świat, to ty... To wszystko twoja wina, kochanie... Ja zrobiłem to dla ciebie. Nie mogłabyś żyć beze mnie. Nie mogłabyś odejść. Ja ci pomogłem. Ja cię uratowałem!

Rzucam pudełkiem z całych sił. Trafia w ścianę, przez co wszystkie zęby rozsypują się po podłodze. Zaczynam płakać. Upadam na ziemię i zaczynam nerwowo zbierać zawartość pudełka. Już dobrze. Mój skarb. Moja miłość. Moje życie...

Wariacje na temat
Morderstwa

Jakub Russak

Fałszywe intencje

Rozległy się gromkie oklaski, kilka osób wstało. Grodków nie miał wielu mieszkańców, jednakże, objąwszy wzrokiem salę gimnastyczną, Autor mógł z absolutną pewnością orzec, że przyszła ich tutaj znaczna część. Już za chwilę dwójka dziewcząt w wieku gimnazjalnym, ubrana „na galowo” i zdecydowanie niemająca ochoty tutaj być, miała podejść, aby wręczyć mu bukiet kwiatów i tabliczkę czekolady w imię wdzięczności – to pierwsze na pewno od lokalnej kwiaciarki, ta misterna kompozycja przywołała w nim wspomnienia z młodości, kobieta miała fach w ręku. I machała mu z przeciwległego końca sali. Autor pomyślał, że marnowała się w tym miejscu. Była może niewiele starsza od niego i już kiedy on zaczynał, a ona kończyła liceum, zajmowała się florystycznymi kompozycjami, które spokojnie mogłyby zrobić furorę gdzieś w wielkim mieście.

Chwilę później dyrektor szkoły ściska mu dłoń i klepie się porozumiewawczo pod pazuchę garnituru z lubieżnym uśmiechem. Butelka czegoś mocniejszego już za moment miała zostać otwarta. Poufałość tego mężczyzny zaskoczyła Autora. Przyjechał tutaj po raz pierwszy, odkąd był jeszcze sfrustrowanym małomiasteczkowością dzieciakiem, a oni już traktowali

go jak swojego. Nie. On był ich. Przynajmniej od chwili, kiedy stał się relatywnie popularnym pisarzem. Niemniej, mimo tego fałszu, Autor miał zamiar czerpać z jego gościnności, której już od wczoraj w żadnym razie mu nie żałował, zapraszając go na obfitą kolację: zrobił to, mimo że Autor wiedział, iż ten wciąż ma do niego urazę za to, że zniknął z Grodkowa, jeszcze zanim jego kariera na dobre się rozkręciła, i przez długi czas w ogóle się do tego miejsca nie przyznawał.

Później nagły błysk, to redaktor zakradł się niezauważony. Migawka osłepiła go, pierwsza strona miesięcznika „Głos Grodkowa” będzie wyglądała fenomenalnie: gospodarz szczerzący się do kamery i on, skołowany i oszołomiony.

Kiedy po tym wszystkim sala stopniowo się wyludniła, pisarz opadł na krzesło i przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu papierosów: rzucił, ale w obecnej chwili po prostu szukał wymówki, aby choć na moment uwolnić się od nieszczególnie ekscytującego towarzystwa. Dyrektor wrócił do swoich spraw, kwiaciarka przetrząsała torebkę w niewiadomym celu, właściciel pisma grzebał w ustawieniach aparatu, a ostatnia osoba, której nie był w stanie sobie przypomnieć, zbliżała się w jego kierunku.

Facet mniej więcej w jego wieku, ubrany modnie, z zaczesanymi do tyłu włosami rzucił w jego kierunku:

– No! Dobra robota. – Wyciągnął w kierunku Autora dłoń, a ten od niechcienia ją uścisnął. – Eugeniusz Lipski, prowadzę tutejszy PolFarm.

– Remigiusz Dębski, piszę – odburknął, zanim zdążył ugryźć się w język. Lipski jednak nie dał po sobie poznać, że jakkolwiek go ta niezbyt przychylna odpowiedź ruszyła, roześmiał się.

– Cięty język cię, widzę, nie opuszcza. Albo może mnie nie pamiętasz? Starego kumpla z dzieciństwa tak potraktować...

No, ale to nieistotne. Widzisz, przychodzę do ciebie w istotnej sprawie. Powinieneś wiedzieć, że...

I wtedy gaśnie światło.

Cisza, nie słyhać nic poza głośnym nawoływaniem się nawzajem, po chwili błysk.

A pół minuty później Remigiusz Dębski, ekliterat leży na ziemi w kałuży krwi. Pozostała czwórka, oszołomiona zaistniałą sytuacją, podbiegła.

– Jezus Maria... – szepnął dyrektor.

– Nie mogę uwierzyć... Kto to zrobił?! – krzyknął aptekarz w amoku i klęknął przy pisarzu. Z klatki pisarza wystają nożyce do przycinania łodyg kwiatów. Natychmiast zwraca się do kwiaciarzki. – Małgosia, wiesz coś o tym...? – zapytał ją, a tamta zastygła w pół, próbując ocucić aptekarza i usilnie starając się odwrócić wzrok od truposza.

– To nie moje! Przecież wiecie, zresztą po co, dlaczego, biedactwo... – tłumaczyła się, jednakże mężczyzna przerwał jej w połowie.

– Wszyscy wiemy, że to nikt z nas. Jesteśmy społecznością, to małe miasto, wszyscy się znamy. Nie możemy, nie, nie powinniśmy się tak pochopnie osądzać – oświadczył stanowczo. – Zresztą, to nie wszystko. Spójrzcie na jego usta. – Wskazał na narastające spienienie w ich okolicy.

– Ale jeśli to nikt z nas, to kto? Tylko my tu byliśmy – drążył wciąż temat redaktor, coraz bardziej ekstatyczny ku zdenerwowaniu Małgosi, jako osoby, na którą w pierwszej kolejności padło oskarżenie.

– To prawda. W każdym wypadku, co do jednego musimy być zgodni. Nikt nie wzywa policji, jakoś to załatwimy. Musimy. To się może źle skończyć, dla nas wszystkich. Jeszcze jedna rzecz. – Uspokoił wszystkich dyrektor i rozluźnił dłoń pisarza, w której ten trzymał...

– Strzępek gazety – wydukał jej autor. – To przecież nic nie znaczy! To równie dobrze mógł być przypadek. Zresztą, czego to waszym zdaniem dowodzi?

Ktoś rozwinął strzępek i przeczytał na głos.

– „Remigiusz Dębski, wątpliwej sławy pisarz pochodzący z naszego miasta, po raz kolejny udowadnia swój brak pisarskiego warsztatu w nowej książce pod tytułem *Tajemnice małych miast...*” i tak dalej. Taką opinię mu wysmarowałeś? Nie wiedziałem, że wywołuje w tobie taką niechęć.

– To nigdy nie poszło do publikacji! Okej, może wydrukowałem parę egzemplarzy, przez pomyłkę... ale nie miało prawa trafić w jego ręce, nawet nie wiem, jak to się stało, prawdę mówiąc. Zresztą, wszyscy wiemy, że to prawda. Zaprosiliśmy go tylko dlatego, że jest znany, żeby dzieciaki miały przykład. To grafoman. – Pomruk niezadowolenia przeszedł przez resztę ze zgromadzonej czwórki, ale po tym zaległa cisza, przyznająca redaktorowi rację.

– Kimkolwiek by był, musimy o tym porozmawiać. Niech każdy teraz powie, co robił, kiedy światło zgasło. Pani Małgorzato. – Dał jej znak, żeby wypowiedziała się pierwsza.

– Więc... Chciałam pokazać Remigiuszowi mój ostatni tomik poezji. Nie nabiera tempa ta moja kariera, a wydawały mi się całkiem dobre, więc pomyślałam... Bo on przecież zna odpowiednich ludzi na odpowiednich miejscach i może mógłby o mnie słowo lub dwa... Sama nie wiem. Nie rozumiem, jak ktoś taki jak on zdołał tyle osiągnąć, ale jeżeli już tak jest, równie dobrze mogłam z tego skorzystać, prawda?

– Więc gdzie dokładnie byłaś?

– Przy nim – odpowiedziała z niechęcią.

– Czyli jednak! Nożyce. Wszystko wskazuje na ciebie.

– Nie wysuwajmy pochopnych wniosków. Jest jeszcze jedna rzecz. Błysk. Czy to byłś ty? – Dyrektor ponownie wskazał na redaktora.

Tak, robiłem zdjęcie. Miałem nadzieję, że uda mi się przyłapać go w jakiejś niefortunnej pozie, wiecie, po ile takie zdjęcia chodzą na rynku? – Chwytał aparat w dłonie i powoli przeglądał galerię zdjęć. Zmarszczył brwi. – Spójrzcie na to.

Pokazał pozostałej trójce ekran, na którym widać było jak na dłoni, mimo lekko rozmytego, niedoświetlonego zdjęcia, leżące na ziemi ciało literata. Bez nożyc w klatce piersiowej. I stojące nad nim aptekarza Eugeniusza Lipskiego.

– Ty?! – krzyknęła kwiaciarka, zadowolona, że chwilowo udało się jej odroczyć potrzebę wytłumaczenia, jak nożyce znalazły się w klatce piersiowej mężczyzny.

– Byłem przy nim cały ten czas, chciałem go ostrzec... wiedziałem o tym, jaką niechęcią darzy go redaktor. Właśnie pokazywałem mu fragment gazety. I ta trucizna... poznałem ją od razu. To ten sam specyfik, który jakiś czas temu przepisałem dyrektorowi, z mojej prywatnej kolekcji. W małych ilościach to lek na niestrawność, w dużych – śmiertelna trucizna. A tak się składa, że Robert dopiero wczoraj gościł tego biedaka na kolacji... – Oskarżony przestąpił z nogi na nogę, nie wiedział, jak się wykić z tego oskarżenia. – Na zdjęciu nie ma nożyc, musiały się pojawić wcześniej, jak by się to nie stało. A więc to oczywiste, co go zabiło... Dobrze wiem, że wszyscy tego właśnie chcieliście. Zazdrośni o jego sukces, sfrustrowani tym, że opuścił nasze miasto i zapomniał o nim... Całe to zaproszenie to był tylko pretekst, aby utrzyć mu nosa, prawda? Nie musicie się tłumaczyć, przecież wszyscy wiemy, że to jest prawda.

– Bądź co bądź, ktokolwiek z nas za tym stoi, dowody będą wskazywały tylko na ciebie. Nożyce? Czysty przypadek. A to, że światło zgasło... Cóż, może i maczałem w tym palce, ale to nie znaczy, że ktokolwiek musi się o tym dowiedzieć.

Zaległa cisza, kiedy wszyscy sobie uświadomili, że każda osoba w tej sali była winna zbrodni... oprócz jednej. Patrzyli na aptekarza w milczeniu, wiedząc, co teraz muszą zrobić.

Julia Zakrocka

Mój drogi Hugo

15.01.2021 r., Melbourne

Mój drogi Hugo,
piszę do Ciebie ten list, ponieważ nie żyjesz. Wciąż ciężko mi się pogodzić z tym, że nie zdążyłem Cię uratować, ani się z Tobą pożegnać. Dlatego postanowiłem napisać. Opowiem Ci wszystko, co się wydarzyło, doprowadzając do tego smutnego zakończenia. Skończyło się tak, że muszę żyć w świecie bez Ciebie.

Jeśli pamiętasz, co się wydarzyło przed najgorszą chwilą mojego życia i ostatnią chwilą Twojego, to pewnie wiesz, że właśnie skończyłeś jedno z najlepszych wystąpień literackich w swojej starej szkole, w rodzinnej miejscowości. Uczniowie i mieszkańcy byli zachwyceni. Twoja sława ściągnęła prawie całe miasto na salę gimnastyczną, która pękała w szwach. Mój kochany, wszyscy byli wpatrzeni w Ciebie jak w gwiazdę z nieba, która wpadła do naszej szkoły. Ja byłem tak wpatrzony w Ciebie. Dawałeś uczucie spokoju i kwiatów banksji rozkwitających w ciepły, wiosenny poranek, a Twoje słowa były najśłodszą melodią, jaką ludzie mogli usłyszeć. Wszyscy byli zachwyceni i wynieśli ze spotkania nowe pokłady energii. Byłeś wspaniały jak zawsze. Gdybym tylko wiedział, że tak to się zakończy...

Zebrałem Twoich starych znajomych, aby zrobić Ci niespodziankę po wystąpieniu. Napisałem do wszystkich, którzy byli częścią Twojego życia w tym miasteczku. Kilkoro zgodziło się przyjść. Ucieszyłem się, kiedy na wiadomość pierwszy odpisał mi Josh, z którym chodziliśmy do klasy, a teraz pracował jako lokalny aptekarz. Na spotkanie przyszła też Ana, kwiaciarka, ta, z którą rodzice kazali Ci się umawiać w liceum, ponieważ miała bogatych rodziców. Pojawił się pedantyczny właściciel naszej miejscowej gazety, Johnathan, z którym chyba kiedyś, przed nami, łączyło Cię coś więcej, ale wtedy nie wiedziałem. Przyszedł wraz z redaktorem Olivierem, któremu dawałeś korepetycje z angielskiego, gdy kończył podstawówkę. Jako ostatnia swoje przyjście zadeklarowała Liza, z którą zawsze wygrywałeś w konkursach anglojęzycznych. Bardzo się ucieszyłem, ponieważ pamiętałem, że często o nich wspominałeś, już po wyjeździe do stolicy. Zaplanowaliśmy niespodziankę.

Po Twoim wystąpieniu zostaliśmy sami w sali gimnastycznej. Pamiętam, że zapytałeś, czy jestem zadowolony z Twojego wystąpienia jako dyrektor szkoły. Byłem oczarowany. Nie potrafiłem oderwać wzroku. W końcu byliśmy sami i mogłem znowu przypomnieć sobie z bliska, jak zielone były Twoje oczy oraz jak miękkie były Twoje usta. W tamtej chwili czułem się, jakbym wypił butelkę szampana. Musiałem przestać, niespodzianka czekała. Kazałem Ci zamknąć oczy i podszedłem do drzwi prowadzących do sali. Otworzyłem je najciszej, jak się dało. Za nimi byli wszyscy zaproszeni. Zauważyłem, że na ich twarzach widoczne było podekscytowanie i radość, które odzwierciedlały moje uczucia. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Zdążyłem pokazać im palcem, aby zachowali ciszę,

i drugą ręką sięgnąłem do wyłącznika światła. Ponieważ sala nie miała okien, nastąpiła ciemność. Następnie, co usłyszałem, to szybkie, zbyt szybkie kroki i tupanie obcasów po gimnastycznej posadzce. Dźwięk metalu rozcinającego powietrze... I krzyk. Zapaliłem światło. Oślepiła mnie jasność.

Pamiętam urywki. Stali w kole nad Twoim ciałem. Znudzeni, zadowoleni, z widocznym uczuciem ulgi. Leżałeś na plecach, oczy wpatrzone w sufit. Nożyce do przycinania łądyg kwiatów w Twojej piersi, w Twoim sercu. Zacząłem biec. Krzyczałem. Nie mogłem oddychać, dusiłem się. Poślizgnąłem się na powiększającej się plamie krwi. Dotarłem do Ciebie. Nie oddychałeś. Nie wiem, co próbowałem zrobić. Płakałem na Twoim ramieniu, dusząc się łzami, a może krzyczałem lub próbowałem Cię przywrócić do życia. Nie pamiętam. Świat się wtedy zatrzymał i nigdy nie ruszył dalej. Zobaczyłem zmięty fragment gazety w Twojej prawej ręce. Ktoś w tle rozmawiał, chyba przez telefon. Drżącymi dłońmi chwyciłem skrawek papieru, aby przeczytać: „TRAGEDIA. Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 15 w Melbourne zamordował swojego partnera, znanego literata, ze stolicy.” Data publikacji: 12.06.2020 r., o godzinie 12:00. Godzina zakończenia Twojego wystąpienia. Nie. Nie. Nie, nie, nie. To nieprawda!

Następna była policja. Rozdzielali nas. Walczyłem.

Wybacz mi. Nie było mi dane się z Tobą pożegnać. Nie mogłem być na Twoim pogrzebie. Piszę to, żeby prosić o wybaczenie. Nie dałem rady Cię ochronić. Jednak zawsze będziesz żył w moim sercu. Nasze wspólnie spędzone chwile dopóty będą żywe, dopóki ja żyję. Nigdy nie zapomnę o Tobie. Twoim słonecznym ciepłem. Zapachu banksji, który się wydobywał, gdy przechodziłeś obok. Oczach zielonych jak trawa po deszczu.

Ustach przypominających soczystością arbuzy zjadane w wakacyjny wieczór przy ognisku z przyjaciółmi. Nie zapomnę Ciebie, kim byłeś.

Wybacz mi.
Twoja miłość,
Josh

Kobieta westchnęła, zdejmując okulary.

Proszę przenieść więźnia na oddział psychiatryczny. Mamy do czynienia z urojeniami – lekarka zajmująca się pacjentami w więzieniu o zastrzonym nadzorze wydała polecenia. – Sukinsyn zabił mi męża i teraz robi z siebie ofiarę.

Zuzanna Zysiek

Widzę kilka martwych ciał

Widzę kilka martwych ciał
To młoda dziewczyna,
a z jej żył wciąż płynie gęsta krew
Widzę kilka martwych ciał
To chłopak z przestrzeloną głową
Oczy ma wciąż szeroko otwarte,
w ręce trzyma pistolet, który nie jest zabawką
Widzę kilka martwych ciał
To mężczyzna w podeszłym wieku
wisi w łazience,
a pod jego stopami stoi butelka
Widzę kilka martwych ciał
To kobieta z garścią tabletek w ręku
na jej ustach widzę czerwoną szminkę,
A na paznokciach mieni się brokat w odcieniach szarości
Widzę kilka martwych ciał
To ojciec dwójki dzieci
pod szyją starannie zawiązany krawat
na biurku masa dokumentów
oblanych krwią z tchawicy
Widzę kilka martwych ciał

Kiedy kończy prezentować swój najnowszy wiersz, na sali panuje kompletna cisza. Słysząc jedynie dźwięk przetykanej śliny. Jestem przekonany, że nie tylko ja mam ciarki na całym ciele. Zawsze był destrukcyjny, zawsze pokazywał to w swojej twórczości, jednak jak czyta taki wiersz na żywo, oddając przy tym emocje, które towarzyszyły przy pisaniu tego, to całkiem coś innego. Stoi na scenie z zamkniętymi oczami, czeka na reakcję publiczności. To jego zwyczaj. Cudowne uczucie. Patrzeć na niego, słuchać go. Przeżywać słowa, które nagle stają się żywe. Wstaję i zaczynam bić brawo. Inni idą w moje ślady. Kiedy aplauz jest już wystarczająco głośny, poeta otwiera oczy i unosi ręce w geście zwycięstwa.

– Dziękuję! Być w tym miejscu to dla mnie niewypowiedziane szczęście. Dziękuję! – mówi i powoli schodzi ze sceny, gdzie czeka już na niego miejscowa kwiaciarka z bukietem kwiatów oraz dyrektor szkoły z gratulacjami. Śmieję się, widząc tę scenę. Artur nienawidził dyrektora za czasów szkoły, zresztą z wzajemnością, a wszystko przez drobną kobitkę, która właśnie wręcza mu kwiaty, niejaka Jolka. Dziś ta trójka pozuje do wspólnego zdjęcia, wszyscy szeroko się uśmiechają, obejmując się nieznacznie, cóż za ironia losu. Kiedy zdjęcia są już gotowe, uśmiechy szybko znikają z ich twarzy, ustępując miejsce zakłopotaniu. Artur szybkim krokiem zmierza w kierunku Magdy, która już radośnie macha mu na powitanie. Dawni przyjaciele, najlepsi. Wspólnie pisali po kątach, Artur stał się sławny, natomiast Magda nadal pisze. Niejeden twierdzi, że ma mu to za złe i pała do niego szczerą nienawiścią, życząc mu wszystkiego, co najgorsze. Jednak w tym momencie widzę w nich jedynie dwójkę przyjaciół, którzy wyczajnie się za sobą stęsknili. W rogu sali zauważam Krystiana, który sięga do kieszeni po garść tabletek.

Nie ma to jak aptekarz uzależniony od leków. W sumie nie ma się mu co dziwić. Jolka, o której wcześniej wspomniałem, to jego obecna żona, która jak wszyscy wiedzą, zawsze kochała i nadal kocha sławnego poetę, dla którego całe to dzisiejsze zamieszanie. Jestem też ja, niejaki Wojciech Brudziński. Siedzę spokojnie na krześle i czekam, aż Artur przyjdzie łaskawie się ze mną przywitać. Kiedy wreszcie idzie w moją stronę, wstaję na powitanie.

– Dobrze cię widzieć, bracie – mówi do mnie i klepie delikatnie po plecach. Odpowiadam mu tym samym.

– Mógłbyś częściej wpadać w odwiedziny, młody, mama powoli wariuje przez twoją nieobecność i brak telefonów. Na każdej ścianie w domu wiszą twoje wiersze. Każdy domownik zna już je na pamięć. Artur śmieje się, kiwając głową z aprobatą. Po chwili oddala się w stronę bufetu. Widzę, jak Jolka podchodzi do niego i podaje mu filiżankę z kawą, chwilę rozmawiają, po czym do kobiety zbliża się mąż i zaczynają się kłócić. Potrząsa nią, a ona wrywa się i biegnie w drugą stronę. Artur stoi skołowany naprzeciwko Krystiana, a ten zaciska pięści ze złości i się oddala. Podchodzę do brata i pytam, czy coś się stało, kiwa przecząco głową i zaczyna pić kawę, przegryzając ciastkiem. Atmosfera w miarę się uspokaja, wyciągam więc notes i zaczynam sporządzać krótki opis dzisiejszego wydarzenia, by jak najszybciej ukazał się on w lokalnej gazecie. Ze skupieniem kreślę poszczególne słowa, kiedy niespodziewanie gaśnie światło i rozlega się hałas. Kiedy światła znowu się rozświecają, w mojej głowie rozbrzmiewają słowa:

Widzę kilka martwych ciał
To poeta z przebitą piersią

Z ust sączy mu się dziwna substancja,
zatopiona w cichych słowach
niespodziewanej śmierci
Widzę kilka martwych ciał

* * *

Śledztwo dotyczące śmierci mojego jedyne go brata, Artura Brudzińskiego, trwało trzy miesiące. Zmarł na skutek połknięcia substancji, która wywołała zatrucie. Początkowe podejrzenia padły na Jolkę, ponieważ Artur w pierś wbite miał nożyce do przycinania kwiatów, jednak nie znaleziono na nich odcisków palców kobiety. Znajdowały się na nich natomiast odciski palców dyrektora szkoły, który został zabrany do aresztu z zarzutem zabójstwa. Po sekcji zwłok okazało się, że przyczyną śmierci było otrucie. Zarzuty przeniosły się na Krystiana, nienawidził on Artura i jako aptekarz miał dostęp do toksycznych substancji. Zeznania świadków potwierdziły, że mężczyzna miał przy sobie podejrzone tabletki, które mógł rozpuścić w kawie, którą potem wypił Artur. Jednakże całkowicie inne światło na sprawę rzucił kawałek gazety, którą zmarły trzymał w ręce. Na jej odwrocie widniały pojedyncze słowa, które na początku nic wielkiego nie znaczyły.

Samotność, Abstrakcja, Marność

Bój, Jestestwo

Po analizie tych słów jeden ze specjalistów doszukał się wśród nich słowa samobójstwo. Uznano więc, że Artur popełnił samobójstwo, a skrawek gazety ze słowami na odwrocie był swoistym pożegnaniem, które poeta po sobie zostawił. Tym samym zamknięto sprawę morderstwa Artura Brudzińskiego.

* * *

Ze smutkiem wpatruję się w ciemne okno. Wspominam brata, obracając w ręce kartkę z jego ostatnimi słowami. Odkładam skrawek na biurko i patrzę na niego pusto. Po chwili sięgam do szuflady, po jeden z ostatnich listów, który dostałem od brata, wciąż doszukuję się powodów odebrania sobie przez niego życia. Wodzę wzrokiem po słowach, które znam już na pamięć. Mógłbyś sobie już dać z tym spokój, chłopie – mówię do siebie, kiedy nagle moją uwagę przykuwa pewien detal w literze J – ogonek jest lekko wywinęty w charakterystyczny sposób. Zerkam na J na skrawku gazety – nie ma tego. Gwałtownie zrywam się z miejsca. Tylko jedna osoba umiałaby w tak doskonały sposób podrobić podpis Artura. Szybkim ruchem sięgam po kurtkę i wybiegam z domu. Kiedy stoję u celu swojej podróży, pukam do drzwi, przełykając ślinę. Policja jest już w drodze. Drzwi lekko się otwierają, a przede mną stoi – Magdalena Abramowicz.

Olivier S.

I tak w kółko

Mówią, że świat pędzi do przodu. Ale co ze mną? No w pewnym sensie to pędzę wraz z nim, bo jestem jego częścią, czyż nie?

Jeśli stoję w autobusie, a świat jest, dajmy na to, autobusem, to trzymam się jego poręczy, turlam się wraz z nim, odczuwam tę samą prędkość i te same wyboje. No chyba że mam świat w nosie, jest mi obojętny. Ale tak przecież nie jest. Wspólnie zmierzamy do jakiegoś celu. Do pracy, do szkoły, na stacje, na pętle, do kina.

Nie mogę z niego ot tak wyskoczyć podczas jazdy, bo drzwi zamknięte, a ja zbyt napęczniały, by się zmieścić w tych wąskich oknach uchylonych na centymetry. Więc pędzę do przodu.

Panie kierowco. Dokąd my tak naprawdę zmierzamy? Do przodu? Czy z przystanku na przystanek, z pętli do pętli, na nitce, która się gdzieś z obu stron spotyka, i tak w kółko, parę razy dziennie, po kilkaset razy w roku.

Człowiek popełnia błąd, po to by popełnić kolejny. Może nie ten sam, ale to wciąż jednak błąd. To wciąż coś powtarzalnego.

Córkę boli, że matka jej poświęca zbyt mało czasu. Mija trzydzieści lat i teraz córka jest matką. Ma karierę, pieniądze, kaprysy. Tylko brak tego czasu na przyglądanie się, jak dziecko

dorasta, powoli stając się babcią, takim zabytkowym tramwajem, który człowieka niby ciekawi, ale tylko raz do roku.

Upada dyktator, po to by go zastąpił jakiś inny, trochę wyższy, z ciemniejszymi włosami, ale w istocie jednak ten sam. Poprzedni mówił w innym języku. A ten mówi po naszemu. Ale to wciąż dyktator.

Zwróć uwagę na słowo rewolucja. Ma ono oznaczać wielką zmianę, jakiś postęp. Nic bardziej mylnego. Revolutio – rotacja, skręt. Do czego prowadzi rotacja, jeśli nie z powrotem do punktu wyjściowego?

I tego właśnie się boję. Iluzji progresu, kiedy rzeczywiście stoję w miejscu. Może nie ma w tym nic złego, nie wiem. Ale boję się, że stoję zamroczony codziennością, tym, co „racjonalne”, i tymi ludzkimi oczekiwaniami, w tym autobusie, nie mogąc wyskoczyć. A przecież musi się kryć coś poza nim.

Może tym czymś jest życie. Albo nieunikniona śmierć. Tak czy siak, zamierzam się dowiedzieć.